

Bezplatny dodatek niedzielny dziennika „Glos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Ludzi tych wzięła na swe skrzydła historia

NIEDYSKRECJE:

Bezmyślny atak Lloyd George'a na Polskę	498
Prowizoryczny rząd w Jugosławji	„
Życie na czerwonym żołdzie	„
„Ręce precz od Chin“	„
Dookoła dzikiej Mandżurji	„
BERLIN - WARSZAWA - GDAŃSK St. Poraj	499
JAK MŁODZIEŻ PRACUJE NAD UTRWA- LENIEM POKOJU J. Firstenberg	500
PRZEMIANY SZKOŁY W PRZEMYŚLE LU- DOWYM Jankowska - Oryżyna	501
IDEA OCHRONY PRZYRODY W POLSCE L. R.	502

„GŁOS PRAWDY LITERACKI“

Ludzi tych wzięła na swe skrzydła historia Juiusz Kaden-Banarowski	503
Tobie, Podhale Władysław Orkan	504
Car Piotr u Mazepy	505
Andrzeja Maurrois aforyzmy o rozmowie Ta- deusz Breza	506
O czytelniku i Twórcy	508
Conrad-Korzeniowski E. Breiter	509
Biblioteka Jagiellońska w r. 1927/28	510
O drogi bibliofilstwa polskiego Tadeusz Ste- rzyński	511
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego	512

NIEDYSKRECJE

BEZMYŚLNY ATAK LLOYD-GEORGE'A NA POLSKĘ w związku z debatami parlamentarnymi nad paktem Kelloga wypływa prędeż z jego analfabetyzmu politycznego w sprawach Europy Wschodniej i Środkowej, aniżeli z przychylnego dla Niemiec usposobienia. Były premier angielski, który decydował w Wersalu o losach krajów i narodów, nie odróżniając „Silesy” od „Cilicy”, nie wiedząc, że „Genoa”, to nie jest Genewa, oburza się z powodu uniwersalizmu paktu przeciwwojennego, który, — potępiając wszelką wojnę napastniczą, uświęca istniejący stan rzeczy, a więc i granice Polski i Czechosłowacji. Czas już najwyższy, by europejscy mężowie stanu przestali dawać posłuch „rewizjonizmowi niemieckiemu”, którego celem wszak jest rozpętanie nowej wojny, aby w mętnej wodzie wyłowić swe rybki. Prawdziwi zwolennicy pokoju powinni wreszcie zrozumieć, że wszelkie kwestjonowanie obecnego stanu rzeczy wywołuje groźbę i w niwecz obraca wieloletnią pracę pacyfistów całego świata.

W JUGOSŁAWJI POWSTAŁ RZĄD PROWIZORYCZNY z ks. Korozecem, przywódcą partii słoweńskiej na czele. Jakkolwiek w skład nowego gabinetu wchodzi przedstawiciele radykałów, demokratów, słoweńców i mahometan bośniackich. — czyli tych partij, które tworzyły dotąd rząd koalicyjny Wukiczewicza, jakoteż niektórzy chorwaci personalnie, nie jest to już dawna koalicja o pewnym ustalonym programie. Gabinet Korozeca jest jeno tymczasowym, celem jego jest uspokojenie kraju i wytworzenie takiej sytuacji, która umożliwiłaby nawet nieprzejednanym chłopom chorwackim wzięcie udziału w rządach. Słowem, chodzi o rzeczywistą unifikację królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców bez podkreślenia supremacji któregośkolwiek z tych trzech równouprawnionych narodów. Wówczas nie miałyby racji bytu żądania pewnego odłamu agrarjuszów udzielenia Chorwacji najszerszej autonomii z własnym rządem i parlamentem. — Udział ministra spraw zagranicznych Marinkowicza w nowym gabinecie jugosłowiańskim jest rękojmnią ratyfikacji traktatu w Nettuno, a więc i polepszenia stosunków z Włochami.

ŻYCIE NA CZERWONYM ŻOŁDZIE nie jest bynajmniej tak rajskim jakby, to się napóżór wydawać mogło. Zasada „ja płacę i ja wymagam” przestrzegana jest przez kremłowskich plantatorów z całą bezwzględnością. „Piorunująca” mowa prezesa Kominternu Bucharina, w której zużył kilka ton oratorskiego „shampooon'u” na „mycie głów”, mało — zdaniem jego — gorliwych komunistów polskich, jest tego jaskrawym dowodem. Prasa polska, w komentarzach do tego jedynego w swoim rodzaju przemówienia, zajęła się przedewszystkiem efronterją, z jaką tow. Bucharin opisywał destrukcyjną „robotę” komunizmu w Polsce. Niemniej jednak pikantnym jest stosunek sowieckich „pracodawców” do „ofiar faszyzmu” — uchodźców ideowych z białopolskiej Polski. Oto następne trzy dni obrad Kominternu wypełniły filippiki komunistów-polaków, z których każdy starał się przewyższyć „samego Bucharina” pod względem surowości ideowej i słów potępienia pod adresem opieszłych towarzyszy partyjnych. Rekord po bił tu bezwzględnie tow. Leszczyński (Lenski), zapowiadając nawet szereg „represyj organizacyjnych”. Tow. Dąbał, przemawiając w imieniu t. zw. „Krestinternu” (międzynarodówka włościańska), również przeszło dwie godziny użalał się na fiasko propagandy komunistycznej wśród włościaństwa pol-

skiego. Widzimy więc, że „wynajęte dusze”, ciężko muszą orać dla swych moskiewskich chlebobawców, którzy z całą bezwzględnością wyzyskują krytyczną sytuację wyrzutek społeczeństw cywilizowanych, nie mających rzeczywiście żadnego wyjścia poza „wierną służbę” czerwonemu caratowi. Tu się dopiero sprawdza ludowe przysłowie: „Kto nie słucha ojca z matką, niechaj słucha psiej skórki”.

„RĘCE PRECZ OD CHIN!” — daje do zrozumienia zainteresowanym mocarstwom, a w pierwszym rządzie Japonji, układ celny, tajemniczo acz pośpiesznie zawarty między Stanami Zjednoczonymi a rządem nankińskim. Przez podpisanie układu Ameryka wyłamała się z koncertu mocarstw, które nie uznały jednostronnego wypowiedzenia przez Chinę wszystkich umów międzynarodowych, albowiem stwierdzenie prawa rządu chińskiego do ustalania ceł wwozowych jest pierwszym krokiem na drodze do zniesienia przywilejów, przysługujących dotąd rasie białej i japończykom. W konsekwencji w krótkim niewątpliwie czasie jurysdykcja chińska obejmie sprawy europejczyków (które podlegały dotąd sądom mieszanym lub konsularnym), a w ślad za tem runą resztki „chińskiego muru” przywilejów, któremi rezydujący w Chinach europejczycy, amerykańanie i japończycy odgradzili się od „złotolitego motłochu”. — Nie z pobudek idealistycznych, nie dla zasady samostanowienia narodów egoistyczny business-man amerykański, który wszak jest najpoważniejszym importerem do Chin, rzekł się korzyści, płynących z dotychczasowego stanu rzeczy. Jak zauważyliśmy na tem miejscu przed tygodniem, rozwiązanie wszelkich zagadek politycznych na Dalekim Wschodzie tkwi w antagonizmie dwóch imperjalizmów Pacyfiku: amerykańskiego i japońskiego.

DOKOŁA DZIKIEJ MANDZURJI — tej azjatyckiej Macedonji od ćwierćwiecza wre nieustanna walka; coraz to nowe narastają konflikty w związku z zubożalą, zdewastowaną przez nieustanne wojny i bezsilną północną prowincją Chin. Gdy po wybudowaniu w Mandzurji odnogi wielkiej magistrali syberyjskiej powstała obawa wzrostu wpływów rosyjskich w tej połaci kraju, wybuchła wojna rosyjsko-japońska, w której japończycy nie po to wszak krew przelewali, by zdobyć Port Artura, bezludną część Sachalinu lub uzyskać przyzwolenie Rosji na zaanektowanie Korei. Nie! Głównym celem japończyków było opanowanie Mandzurji, jeśli nie polityczne, to ekonomiczne, utworzenie wielkiego, a zasobnego hinterlandu dla kolonizacji japońskiej. Zadanie nowych kolonizatorów było ułatwione dzięki nieustannej wojnie domowej w Chinach, (która trwa już od 18-stu lat i nie jest jeszcze rzeczą pewną, że nadszedł kres wewnętrznych walk), dzięki wojnie europejskiej, która uwagę całego świata na długi szereg lat odwróciła od Dalekiego Wschodu i — dzięki rewolucji rosyjskiej, osłabiającej tak poważnego przedtem przeciwnika, jak Imperjum Rosyjskie. Przez dwadzieścia z górą lat Mandzurja stała otworem dla penetracji japońskiej. Ostatnie zwycięstwo rządu nankińskiego, dążącego do zjednoczenia wszystkich prowincyj chińskich pod sztandarem Kuomintangu, zmusza Japonję do założenia energicznego weta przeciwko unji Mandzurji z Republiką Chińską. Znajdujący się między młotem japońskim a kowadłem nacjonalistycznym syn i następca Czang-Tso-Lina — Czang-Hsu-Liang depekuje do Nankinu: „duszą jestem z wami, lecz „obce wpływy” zabraniają mi wywieszenia flagi Kuomintangu na murach Mukdenu”, „Polityka silnej pięści”, stosowana przez rząd japoński daje nowe owoce: szukając okazji do zaczepienia Chin, no i pretekstu do ewentual-

nego wkroczenia zbrojnych sił japońskich do Mandżurji, gabinet tokijski zrywa stosunki z Chinami na znak protestu przeciwko anulacji traktatów. Wuj Sam czekał cierpliwie i milczał. Gdy nastąpiła odpowiednia chwila, Ameryka, nie uprzedzając żadnego ze współzainteresowanych państw, zawiera nagłe układy celny z Nankinem, z którego wynika pośrednia zgoda na reformy nacjonalistów i pośrednie też uznanie rządu rewolucyjnego. Za flagą Kuomintangu zatrzepotał nagle gwiazdzisty sztandar Stanów Zjednoczonych. W rezultacie Japonia cofa się na całej linii. Z Tokio donoszą urzędowo, że zerwanie stosunków z rządem nankińskim proklamował jakoby

na własną rękę generalny konsul japoński w Pekinie bez porozumienia się ze swym rządem, jednocześnie zaś baron Tanaka wszczyna pertraktacje z wysłannikiem Nankinu o rewizję traktatów chińsko-japońskich. Mandżurja? Jakkolwiek „żywotne interesy” łączą prowincję tę z Japonją, rząd tokijski bynajmniej nie ma zamiaru wzruszać uchwały konwencji Waszyngtońskiej z roku 1922, zapewniającej całość Chin — tak twierdzą japończycy. Przychodzimy znów do wniosku, że szczęście krajów słabych leży w antagonizmie rekinów imperialistycznych. Jest to maksyma, którą my, polacy, wykorzystaliśmy przed 14-stu jeszcze laty.

BERLIN-WARSZAWA-GDAŃSK

(na marginesie książki p. Tourly)

Nazwisko p. Tourly, redaktora socjalizującego paryskiego „Soir'a”, zostało uwiecznione już raz na łamach dziennika „Głosu Prawdy” w związku z gościną jego u prezesa regencji kwidzyńskiej w Prusiech Wschodnich, gdy podejmowano go tam nader gościnnie w przypuszczeniu, iż ów dziennikarz paryski da się pozyskać dla sprawy propagandy na rzecz Prus, które „cierniem, wbitym w żywe ciało niemieckie”, odcięte zostały od reszty wielkiej ojczyzny.

Wyniesionemi z wycieczki tej wrażeniami podzielił p. Tourly z czytelnikami swego „Soir'a”; następnie zaś wydał je w tomiku, drukowanym w Paryżu u p. Delpeuch'a, który — dodajmy — jeszcze w czasie wojny zyskał sobie na gruncie paryskim opinię defetysty. Już więc nazwisko nakładcy mówi do pewnego stopnia o tendencjach, z jakimi się w owych notatach z podróży zapoznać mamy.

Są one, oczywiście, dla nas zupełnie przejrzyste. Licząc jednak na to, że większość czytelników stanowić będą ludzie nie obeznani z przedmiotem, p. Tourly stara się tendencje swe ukryć w gąszczu obserwacji bezstronnego rzekomo widza, który kolejno zwiedza Berlin, Warszawę, Gdańsk i prawy brzeg Wisły po Kwidzynie i Opalenie. Bezstronny ów widz zwiedza kolejno te miasta, rozmawia ze spotkanymi w drodze ludźmi, stara się powtórzyć wiernie, co od nich posłyszał; wszystko więc jest w porządku na pozór i byłoby w porządku istotnie, gdyby nie pewien drobny szczegół; oto wszystkie informacje, zaczerpnięte ze źródeł niemieckich p. Tourly traktuje z całą dobrą wiarą, z bezwzględnym zaufaniem; gdy przeciwnie informacje, pochodzące z kół polskich, autor ironizuje, nie dowierza im, wreszcie stara się im przeciwstawić argumenty niemieckie, będące dlań już, jak zaznaczyliśmy, bezapelacyjnym rozstrzygnięciem kwestji. Rzeczą jest przytem charakterystyczną, że gdy chodzi o Polskę, p. Tourly dziwnie nieszczerliwie wyszukuje sobie informatorów. Takim będzie na przykład ów tajemniczy przyjaciel — polak paryskiego dziennikarza, ów „ami affable, séduisant, spirituel”, który w rozmowie z p. Tourly na temat robotników warszawskich podkreśla istnienie „sumienia robotniczego, usiłującego przeciwstawić się w warunkach niezmiernie trudnych, dyktaturze wojskowych i ich awanturniczej polityce”...

A dalej polak ów tak informuje pana Tourly o polskim włościństwie.

„Ci są istotnie brudni: w odzieży ich gnieździ się mnożstwo stworzeń. Niezwykłe płodni, spijają niejednokrotnie na kupie, w jednej izbie, na narach, nie zadając sobie trudu, by się rozbierać. Są ciemni — wielu z pośród nich jest zupełnie niepiśmiennych — są nadto łatwowierni, przesądni, bigoci, fanatycy i posłuszn bezwzględnie księżom, za którymi idą jak stado owiec idzie za pasterzem. Czy są patriotami? Ojczyzna ich ciągnie się nie dalej niż cień dzwonnicy ich kościoła. Oczywiście, gotowi iść na rzeź w imię jakiegś „idei”, jakiegokolwiek zresztą — dziś białej a jutro czerwonej — jaką im wbiją w głowę, nakształt gwoźdźcia ich pasterze. Ubóstwiają Najświętszą Pannę pod wszelkimi postaciami, jak ubóstwiałiby jakiegokolwiek bóstwo pogaństwa, ale przedewszystkiem cenią wódkę. Widział pan, co się pije w Warszawie? To nic jeszcze — to rosa poranna w porównaniu z rzekami wódki, jakie spija wieś!... Wydają wszystko na wódkę naprzód, potem dopiero na jedzenie, jeśli coś jeszcze zostanie”.

A dalej, zdaniem owego tajemniczego informatora, „z pośród 30 milionów mieszkańców Polski połowa zaledwie rozumie po polsku, wszyscy zaś kłócą się pomiędzy sobą”.

„...Owi inni — ciągnie ów „skrajnie uprzejmy, zachwycający, dowcipny” warszawianin — to żydzi, rosjanie, litwini, czesi, galicjanie(!) i niemcy... W ziemiach kresowych, jakie traktatem wersalskim wcielono do nowej Polski, rozwija się nacjonalizm irredentystyczny, zaostrzający się z każdym dniem. Dowodzą tego wyniki rozlicznych plebiscytów i rozmaitych wyborów. Litwini, rusini, ruteni (tak' russiens et ruthènes), ślązacy nie rozbrajają się nigdy. Wybuchały już gwałtowne konflikty, inne wiszą w powietrzu: to z powodu Wilna, to znów Gdańska, to wreszcie Prus Wschodnich... Jakże więc ta nieszczęśliwa Polska, rozdarta od wewnątrz, może pracować w spokoju, organizować się, stać się państwem silnem i zwartem? Trzebaby potemu polityki niewypowiedzianej elastycznej. My tu zaś znamy jedynie żelazną rękę dyktatury wojskowej”...

Tak więc brzmią informacje owego tajemniczego przyjaciela — polaka i — rzecz szczególna — tego rodzaju informacjom p. Tourly chętnie daje posłuch; traktuje je najzupełniej poważnie. Z niedowierzaniem natomiast wysłuchuje wszystkiego, co mu powiedziano w ministerstwie na Wierzbowej, bo i tam zaszedł w swej włóczędce na chybił — trafił — jak sam mówi — po warszawskim bruku.

Nie mamy tu jednak zamiaru streszczać całego tomiku p. Tourly, przesiąkniętego, jak dla nas zbyt wyraźnymi sympatjami dla wszystkiego, co niemieckie, jak i zbyt wi-

doczną niechęcią do wszystkiego, co polskie. Traktować ją należy poprostu tak, jak na to zasługuje, jako owoc propagandy niemieckiej, niewątpliwie dobrze zapłaconej i nieprzebierającej w środkach, gdy chodzi o „rektyfikację” — ach, oczywiście, tylko pokojową i tylko na mocy polubownych targów sąsiedzkich, narazie przynajmniej — o rektyfikację więc owej „niemożliwej” granicy wschodniej, która odcina Prusy Wschodnie i wolne miasto Gdańsk od macierzy...

Zdając sprawę z notatek p. Tourly z podróży po Europie środkowej, nie mamy przytem najmniejszego zamiaru pouczać ich autora, iż szkodzi nietylko nam, których widocznie bardzo nie lubi, ale i własnej swej ojczyźnie. Bo gdyby ktoś cały ów wypad paryskiego dziennikarza przeciw jednej ze stypulacyj traktatu wersalskiego uznać miał — całkiem zresztą niepotrzebnie — za poważną kampanję, w konsekwencji powinniśmy się obawiać zwalania murów granicznych nietylko nad Wisłą, lecz i nad Renem również, gdzie w podobny sposób pracować zaczyna propaganda niemiecka narazie pod płaszczykiem hasel autonomistycznych Alzacji.

Nie chcemy jednak traktować p. Tourly poważniej niż na to zasługuje. Chwała Bogu, pracuje za nas życie i ono to otwiera oczy Zachodowi na to, czem jest i czem stanie się wkrótce odrodzona Rzeczpospolita. Przy sposobności jednak zdawania sprawy z tego, co widział p. Tourly w Warszawie, nie możemy pominąć pewnego szczegółu, który się nam mimowoli pod pióro nasuwa.

P. Tourly więc znalazł się przypadkiem na placu Napoleona i tu — czytelnik daruje nam, że zacytujemy oryginał w możliwie wiernym przekładzie — w pewnej chwili wyczuwa pewną potrzebę, zupełnie naturalną, której winien uczynić zadość. Szuka też — jak mówi — jednego z owych budyneczków, które, jeśli nawet nie zdobią paryskich bulwarów, niemniej służą bezprzecznie użyteczności publicznej... Wszelkie jednak najgorliwsze poszukiwania p. Tourly są bezowocne, bo — jak twierdzi — w Warszawie niema „pisuarów”, a stąd wniosek, iż o higienę polacy nie troszczą się zupełnie, że użycie wody jest tam luksusem i t. d.

Każdy z rodaków p. Tourly, który dłuższy czas spędził w Warszawie, mógłby go poinformować, iż właśnie na placu Napoleona taki „budynek użyteczności publicznej” stoi dla publiczności otworem wprawdzie nie na krawędzi chodnika, jak na bulwarach paryskich, ale na skwerku, co już jest kwestją poglądów estetycznych danego kraju. Niechże więc w związku z temi bezowocnymi poszukiwaniami p. Tourly zechce przyjąć od nas życzliwą radę, iż wniosków swych nie należy nigdy opierać na błędnych przesłankach, bo wówczas wywody stają się nietrafne.

A takie wywody właśnie najłatwiej zbija samo życie.

St. Poraj.

JAK MŁODZIEŻ PRACUJE NAD UTRWALENIEM POKOJU

Ruch pacyfistyczny postawił sobie za zadanie umożliwić i przygotować rozbrojenie *materjalne* narodów przez uprzednie rozbrojenie *moralne*. Dopóki bowiem do świadomości całej ludzkości nie przemknie i powszechnym dogmatem się nie stanie konieczność potępienia wojny, jako sposobu rozstrzygania zatargów międzynarodowych i wykluczenia jej na zawsze z życia społecznego, dopóki nie ugruntuje się we wszystkich kulturalnych społeczeństwach idea solidarności i współdziałania — dotąd wszystkie prace zmierzające do utrwalenia pokoju, będą powierzchniowe i nietrwałe. Powodem tego stanu rzeczy jest ten fakt bezsporny, iż w dobie obecnej wojnę prowadzą nie armje, ale całe zorganizowane odpowiednio narody, jak również to, iż w krytycznym momencie konfliktu o decyzji każdego rządu rozstrzyga niewątpliwie w znacznym stopniu postawa duchowa danego społeczeństwa.

Od Traktatu Wersalskiego stosunkowo niewiele zmieniło się pod tym względem na lepsze. Zostały wprowadzone stworzone trwałe formy pracy nad zabezpieczeniem pokoju powszechnego, wprowadzono zagadnienie to nie schodzi ani na chwilę z porządku dziennego narad dyplomatycznych i przyznać trzeba, że w ciągu tego okresu dużo zdziałano na polu międzynarodowego zbliżenia i współpracy. Z drugiej jednak strony groza wojny osłabła znacznie w pamięci jej uczestników i podrosło nowe pokolenie, które jej koszmarnych okropności wcale nie oglądało, a które w znacznej części wychowywało się w atmosferze szowinizmu i nienawiści narodowej.

We współczesnym życiu społecznym istnieje cały szereg czynników, zagrażających stale pokojowi. Od świadomego nacjonalizmu poprzez mniej lub bardziej nieuniknione konflikty międzypaństwowe aż do wszelkich objawów antogonizmu religijnego czy klasowego — wszystko to wytwarza dyspozycję psychiczną, przychylną raczej wojnie i wszystko to jest w zasadzie jej sprzymierzeńcem. Najniebezpieczniejszym jednak jest dla pokoju instynkt walki i bohaterstwa, nieodłączny towarzysz wieku młodości, który, nie mając innego ujścia dla siebie albo poprostu idąc w kierunku najmniejszego oporu, przedziera się najczęściej łatwo w ideologję militarystyczną. Jeżeli do tego dodamy jeszcze tę okoliczność, iż wojna ma za sobą siłę wielowiekowej tradycji, zrozumiemy jasno, jak niezmierny wysiłek jest konieczny ze strony pacyfizmu, aby nie dopuścić do rozpętania nowej zawieruchy wojennej.

Do celów swoich pacyfizm zmierza drogą metodycznej pracy propagandowo — wychowawczej.

Jedną z najsilniejszych i najbardziej czynnych organizacji pacyfistycznych w naszym kraju, a nawet w Europie, jest Akademicka Federacja Przyjaciół Ligi Narodów w Polsce, prowadząca swą działalność według zasad następujących.

Pierwszą i podstawową przesłanką jest *pozytywne ustosunkowanie się do idei pokoju*. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, iż „natio nationi lupus”, zdaniem naszym normalnym stanem ludzkości bynajmniej nie jest wojna, ale powszechna kooperacja i solidarność, wszelkie zaś objawy zbrojnej samowoli winny być z życia narodów zupełnie usunięte i zastąpione poczuciem prawa i sprawiedliwości. Należy wierzyć głęboko, iż w przy-

Czytajcie

„GŁOS
PRAWDY”

słości — może już niedalekiej — będzie można o tem mówić, jako o fakcie już dokonanym.

W związku z realizacją powyższego postulatu występuje konieczność dokładnego poznania całokształtu życia międzynarodowego oraz rozmaitych organizacji, będących tego życia przejawem i funkcją, z Ligą Narodów na czele. Innemi słowy niezbędna jest *wszechstronna praca naukowo - badawcza*. „Ignorancja jest największym wrogiem Ligi Narodów”, twierdzi min. Zaleski. Wielkiego dzieła pokoju nie da się urzeczywistnić bez gruntownej i precyzyjnej znajomości wszystkich zjawisk, zachodzących na arenie światowej, oraz istniejącego pomiędzy nimi węzła zależności. Z tego punktu widzenia zjazd międzynarodowej izby handlowej, kongres mniejszości narodowych lub ruch irredentystyczny w Indjach są wydarzeniami niemniej godnymi powszechnej uwagi, niż np. kolejna sesja Rady Ligi. Niesłychanie szybki rozwój komunikacji sprawił, iż cały świat stanowi obecnie obszar poniekąd mniejszy, niż Europa za czasów Napoleona.

Ten dział pracy polega przede wszystkim na perjodycznych zebraniach dyskusyjnych, organizowanych przez poszczególne środowiska Federacji, przyczem na prelegentów są zaproszeni najwybitniejsi znawcy ośnośnych zagadnień z pośród profesorów wyższych uczelni, parlamentarzystów i wyższych urzędników M. S. Z. Koło warszawskie zebrań takich urządziło w przeciągu dwóch lat ostatnich z górą trzydzieści; wszystkie one stały na wyjątkowo wysokim poziomie. Niezależnie od tego zostały obecnie zapoczątkowane studia głębsze, o charakterze napół - seminaryjnym, prowadzone w trzech kierunkach: 1) kulturalno - politycznym, 2) społeczno-gospodarczym i 3) prawnym.

Należy również wspomnieć, iż corocznie wyjeżdża do Genewy z ramienia Federacji 3 — 5 osób na płatne praktyki („stage”) w Międzynarodowym Biurze Pracy.

Dalszym etapem działalności Federacji jest *akcja propagandowa*. Wyznawaną ideę i posiadane wiadomości należy nieść w masy i pozyskiwać je dla sprawy pokoju. Wymaga to głęboko przemyślanych metod wychowawczych, wykwalifikowanych prelegentów, specjalnych wydawnictw popularnych i t. p. Zadaniem tej akcji jest przeświadczenie o ścisłej zależności pomiędzy rozwojem i dobrobytem krajów całego świata oraz wykazywanie potwornych następstw wojny współczesnej i to, że w ostatecznym wyniku przynosi ona straty obu stronom walczącym.

Szczególną uwagę zwrócono na młodzież szkolną, robotniczą, ostatnio także wiejską. W kilku gimnazjach stołecznych odbyły się w bież. roku odczyty o Lidze Narodów i M. Biurze Pracy, wygłoszone przez członków Koła Akademickiego; udało się także nawiązać współpracę z paroma czasopismami uczniowskimi. Wreszcie rozpisano wśród młodzieży szkolnej starannie opracowaną ankietę na tematy związane z zagadnieniem wojny i pokoju, której wyniki zapowiadają się niezwykle ciekawie. Okres wakacyj letnich ma być wykorzystany dla akcji na terenie miast prowincjonalnych i wsi.

Następnym działem są *stosunki z młodzieżą zagraniczną*. Kontakt ten jest niezwykle ożywiony i posiada najrozmaitsze formy, z których głównymi są: zjazdy i kursy międzynarodowe oraz wymiana korespondencji. W czerwcu r. b. odbędzie się w Warszawie z okazji Kongresu Pokoju — pacyfistyczna konferencja młodzieży, w

sierpniu — doroczne kursy, zorganizowane przez Bureau d'études internationales pod kierunkiem anglika prof. Zimmerna, wreszcie w sierpniu — zjazd w Ommen (Holandja). Częste stykanie się młodzieży z różnych krajów, i to jej elementów najbardziej uspołecznionych, przy omawianiu zagadnień kulturalnych i społecznych wytwarza specjalną atmosferę wymiany poglądów i porozumienia, która niewątpliwie da w przyszłości dobroczynne wyniki.

Istnieją jeszcze inne pomniejsze agendy, jak biblioteki, dział prasowo-wydawniczy i t. d., o nich jednak dla braku miejsca mówić tutaj nie można.

Praca dla pokoju jest w Polsce niewątpliwie trudniejsza, niż w innych krajach. Opinia publiczna — oprócz stosunkowo niewielkiej gromady entuzjastów — do zagadnienia tego odnosi się albo z wyraźną niechęcią, albo z lekceważeniem i ironją, albo też najzupełniej obojętnie.

Przyczyniła się do tego długotrwała walka o Niepodległość i z tem związany kult dla rycerskiego rzemiosła, a dalej rozczarowanie, jakie nam Liga Narodów przyniosła w paru pierwszych latach swego istnienia i wreszcie — antypokojowa postawa naszych najbliższych sąsiadów. A jednak, pomijając nawet wszystkie względy o charakterze ogólnym, utrzymanie pokoju leży właśnie w interesie politycznym naszego kraju, jest niezbędne dla jego niezawisłości i normalnego rozwoju.

Wierzmy głęboko, że sprawa Polski i sprawa pokoju jest jedna i nierozdzielna i dlatego w pracy naszej dla pokoju nie ustaniemy.

J. Firstenberg.

prezes Akad. Koła Przyjaciół L. N. w Warszawie.

PRZEMIANA SZKOŁY DLA SZTUKI LUDOWEJ

Rozwijanie sztuki ludowej jest zagadnieniem równie trudnym jak delikatnym.

Półwiecze doświadczeń szkolnictwa zawodowego nad sztuką ludową ujawniło niebezpieczeństwa płynące z chęci jej udoskonalenia.

Nie będziemy niesprawiedliwi, twierdząc, że każdy z tych eksperymentów dobrej wiary był negatywną nauką, wskazującą nam dzisiaj czego nie należy robić. Zresztą ewolucja poglądów na to zagadnienie w Polsce jest poniekąd odzwierciedleniem prądów europejskich poza, być może ostatnimi eksperymentami bardzo ciekawymi i prostymi.

Pierwsze szkoły dla zdobnictwa ludowego powstały w Małopolsce pod wpływem propagandy „krajowego” przemysłu, walczącego z zalewem wiedeńszczyzny. Typowym sprawdzianem ówczesnych pojęć była szkoła przemysłu drzewnego w Zakopanem, która w imię ducha Zachodu jąła wprowadzać coś nakszałt szwajcarszczyzny, nie licząc się wcale z bogactwem samorodnej sztuki podhalańskiej.

Buntem tradycyji tatrzańskich był kierunek przodownika regionalizmu i odkrywcy „sposobu zakopiańskiego” Stanisława Witkiewicza.

Barbarzyństwem nie do pojęcia wydaje się nam dzisiaj niszczenie sztuki rodzimej przez zagraniczne szablony, nie mniej jednak jesteśmy współcześnie świadkami

tepienia regionalnej sztuki ludowej przez narzucanie wzorów z innych dzielnic. I to rzecz się dzieje za sprawą instruktorów kształconych w szkołach zawodowych Min. Oświaty, którzy wprowadzają pasiaki łowickie tam gdzie istnieją tak bogate i rozmaite wzory tkanin lnianych — na Wilenszczyźnie.

Trzecim typem szkody, wyrządanej sztuce ludowej w imię „uszlachetnienia” jest „wzbogacanie” jej przez artystę. Nauczyciel taki nie sprowadza już wzorów ani z Szwajcarii ani z Łowicza, ale zachowując charakter regionalny, dajmy na to huculski, przenosi wzory z rzeźby na tkaninę, z haftu na ceramikę i t. p.

W ten sposób ornament przeszczepiony na grunt innej techniki traci swoją logikę, wdzięk i sens istnienia, tak głęboko zaakcentowany w sztuce ludowej, rozwijającej się wraz z rękodzielnem.

Trudno wyliczyć wszystkie krzywdy jakie wyrządza sztuce ludowej nauczyciel niezbyt głęboko i mądrze ją czujący.

Czy przez zmechanizowanie techniki, które zaprzepaści charakter przedmiotu, będący wyrazem jakiejś budowanej wiekami kultury, czy przez wprowadzenie tej czy innej secesji, czy przez uczenie rysunku, jako realistycznego kopjowania natury... Nawet człowiek tak nieporównany dla sztuki podhalańskiej zasług, jak Stanisław Witkiewicz nie ustrzegł się wprowadzenia do rzeźby góralskiej pokutującej do dziś dnia naturalistycznej szarotki.

Wobec tylu trudności i błędów powstała myśl prosto rozwijania sztuki ludowej przez dostarczanie artystom wiejskim masowych zamówień. Widzieliśmy jak pod wpływem budzącej się chciwości śliczne wycinanki łowickie zamieniały się w nudne ze tak powiem „sztancowanki” mechaniczne. Masowa produkcja leluży, gwiazd i parzenic zohydziła i zmechanizowała rzeźbę zakopiańską.

Reakcją przeciwko temu była szkoła „warsztatów krakowskich”. Wychodziła ona z założenia, że sztuka ludowa nie jest zabytkiem muzealnym, że żywie jej krynica, ów we krwi drzemiący styl, instynkt tradycji zbiorowej, że trzeba go tylko pobudzić do twórczości. Brano tedy materiał dziewiczy, dzieci chłopskie, nie uczono ich odtwarzać natury, tylko z pamięci „pisać jej wyobrażenia”, komponować i wypełniać dekoracyjne płaszczyzny i formy przedmiotów.

Z tej to szkoły wywodzą się zabawki drewniane pod kierownictwem J. Warchałowskiego zdobione, batiki z Buska szkoły, hafty z Kompiny Łowickiej wprowadzone przez Czesława Młodzianowskiego.

Z ducha tego pochodzi też rzeźba ze Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem, na której formie zaciążyła w dużym stopniu indywidualność K. Stryjeńskiego. Można się zachwycać temi wyrobami, lub też widzieć w nich pewne sztuczne forsowanie prymitywu niewątpliwie jednak stanowią one bardzo ciekawy eksperyment szkolny i o całe niebo przewyższają wszelkie dotychczasowe próby, być może nawet europejskie. Ten rodzaj szkolenia wymaga jednak wielu wyrzeczeń i wielkiego poczucia dekoracyjnego od nauczyciela.

Usystematyzowaniem i dokładnie przepracowaniem tego zagadnienia jest świetna książka Karola Homolacsa „Podstawowe zasady budowy ornamentu płaskiego i metodyka kursu zdobniczego”.

Pewną próbą zbiorowego szkolenia prawdziwych wytwórców ludowych jest metoda pracy Ceramicznej

Stacji Doświadczalnej w Wiśniewie pod Warszawą, prowadzonej z ramienia Tow. Pop. Przem. Lud. przez p. Wandę Szrejberównę. Metoda polega na doskonaleniu techniki z zachowaniem materiału, formy i zdobienia, regionalnego ulepszenia tylko środków produkcji. Kształcenie poczucia dekoracyjnego odbywa się z zachowaniem wszystkich właściwości regionalnych. Ciekawe, że zeszyt każdego garncarza, w którym rysuje swoje ornamenty od razu uderza stylem jego strony. Przytoczyliśmy tu historię ewolucji poglądów na szkolenie w przemyśle ludowym w celu wykazania jak dalece jest trudnym zagadnieniem i odstraszenia wszystkich tych, którzy zgodnie z modą na popieranie przemysłu ludowego, lekko-myślnie do spraw tych się zabierają.

Jedyną drogą dla amatorów i popieraczy jest zbieranie okazów, tworzenie muzeów regionalnych i zakupywanie czy zamawianie przedmiotów sztuki ludowej, okazywanie pomocy finansowej zdolnym jednostkom. Wszelkie uczenie na własną rękę jest z reguły dla sztuki ludowej szkodliwe.

Jankowska-Oryźyna.

IDEA OCHRONY PRZYRODY W POLSCE

Idea ochrony przyrody czyni w ostatnich czasach w Polsce wielkie postępy. Jest już rzeczywiście najwyższy czas po temu, by jak najszersze masy ludzi ze wszystkich warstw społecznych zainteresować ideą ochrony o wciągnąć je do aktywnej walki przeciw szeregającym się wandalizmowi. Bo zważmy:

Oto wybito żubry w Puszczy Białowieskiej, tępią gdziegdzie zachowane okazy łosia, tępią tak rzadkiego u nas bobra, wyrębiają cisy, niszczą masowo kosówkę na Howerli, wycinają stare lipowe aleje i parki dawnych siedzib magnackich, obtłukują stalaktyty wapiennych grot. Jednego dnia wycieczka rozstrzaskała w olsztyńskich grotach filar, który był dziełem kilkudziesięciu tysięcy lat: innym znów razem, na Babiej Górze, pastuszkowie zapuszczają ogień w wypróchniały pień olbrzymiej jodły jagiellońskiej i to odwieczne drzewo spłonęło do szczytu. Nie zapominajmy i o tem, że jeszcze w połowie XVIII wieku na Saskiej Kępie, pod Warszawą, mnożyły się bobry i budowały tu swe żeremia. A oto w ubiegłym roku pozostało jeszcze jedno gniazdo bobrowe na Niemnie, za Grodnem i jednego bobra od pary chłopci kijami zatłukli. A nawet lasy polskie, choć w przestrzenie dość jeszcze obfite, nie mają zapewnionego bytu na przyszłość. Nie ma już dziś żadnej racji przysłowie: „nie było nas — był las, nie będzie nas — będzie las”. Według danych statystycznych wywóz drzewa z Polski jest większy od rocznego przyrostu drzewostanów. Innemi słowy, jeżeli równowaga pomiędzy eksportem a przyrostem rocznym nie zostanie uregulowana przez racjonalną gospodarkę, lasom naszym grożą dalsze dewastacje, a w końcu — zagłada.

Należy więc na gwałt ratować to wszystko, co jest jeszcze do uratowania; należy ocalić i na przyszłość ochronić wszystko to, co stanowi swoistą cechę przyrody polskiej i bez czego straciłaby ona swoją indywidualność. Przez ochronę przyrody nie należy rozumieć przepisów ochronnych, mających na celu użyteczność. Należy zrozumiana ochrona przyrody czyni się dla przyrody samej; jest to koncesja ze strony człowieka na rzecz przy-

rody i opiera się ona na motywach idealistycznych, wymaga zatem dość wysokiego stopnia kultury. Niekiedy pokrywa się z korzyścią, lecz znacznie częściej jest wręcz sprzeczna z interesem. Ochrona przyrody bierze pod uwagę jedynie względy: 1) naukowe, 2) historyczno-pamiętkowe, 3) estetyczno-krajobrazowe, 4) zachowania swoistości krajobrazu, co niezawsze indentyfikuje się ze względami estetycznymi. Zasadniczo jest to zagadnienie czysto kulturalne (nie — utylitarne) i jako takie należy do Ministerstwa W. R. i O. P.

Zadania ochrony przyrody polegają na 1) wyszukiwaniu obiektów, podlegających ochronie, 2) wykonywaniu ochrony przez obmyślenie i kontrolę sposobów zabezpieczenia, 3) inwentaryzacji obiektów, 4) wydawaniu opinii, 5) szerzeniu propagandy wśród społeczeństwa na rzecz ochrony przyrody. Głównym organem wykonawczym jest Państwowa Rada Ochrony Przyrody, urząd, podległy Min. W. R. i O. P. Kierownik tego urzędu posiadać musi wysokie kwalifikacje. Korzysta też z szerokiej kompetencji. Urząd ma doradcę prawnego i ciało doradcze kolegjalne, składające się z ludzi fachowo wykształconych i pochodzących w miarę możliwości z różnych stron kraju. Wprowadzone w r. 1925 rozporządzenie zmienia dotychczasowy kierunek akcji: podczas gdy uprzednio mianowane centralne, na daną dzielnicę kuratorja zwoływały ciała doradcze, od r. 1925 komitety te wyłaniają drogą wyborów stały organ fachowy. Egzekutywa tych ciał należy do administracji ogólnopaństwowej. A oto w roku bież. powstało stowarzyszenie społeczne „Liga Ochrony Przyrody”, które pragnęłoby — w harmonijnem współdziałaniu z Radą zainteresować tą sprawą jak najszersze koła inteligencji polskiej. Oczywiście, iż cel Ligi godzien jest jaknajgorętszego poparcia. W myśl tego statutu — Liga O. P. „ma zabiegać o zachowanie oblicza ziemi ojczystej w jego pierwotnym stanie, tudzież o zachowanie pięknych i swoistych cech krajobrazu rodzimego”.

Dodajmy, iż Ligi takie istnieją już oddawna na gruncie społeczeństw zachodnio - europejskich. Liga Szwajcarska liczy 31.000 członków. Wydzierżawiła ona w celu ochrony górna część doliny Engadina. Liga Austriacka liczy 24.000 członków, budżet jej wynosi 30.000 marek. Otóż Polska Liga O. P. chce pójść drogą już

utorowaną i przyjętą przez społeczeństwa zachodnio-europejskie, a zwłaszcza, przez Stany Zjednoczone Am. Płn.: chce stworzyć „parki narodowe” (jednostki większe, mające stanowić — po wsze czasy — nietykalną własność całego społeczeństwa) i „rezerwy” — jednostki mniejsze. Ochronie rezerwatowej podlegałyby całe obszary, które, ze względu na szczególną wartość krajobrazową, naukową i t. p. domagają się specjalnie pieczołowitej opieki. Rezerwy obejmują niekiedy całe okolice. Mają one wielkie znaczenie dla naukowców, niekiedy, położone w pobliżu stacyj naukowych, same stanowią też rodzaj stacyi doświadczalnej. Na terenach rezerwatowych można zaobserwować rozwój poszczególnych gatunków, niekiedy skład roślinny tworzącego się torfowiska, współzycia, socjologję i dynamikę gatunków. Wyniki tych badań stanowić mogą poważne przyczynki do najogólniejszych teoryj biologicznych. W skład liczby rezerwatów weszłyby u nas typowe krajobrazy Polski, jak: morenowy, stepowy, jeziorowy, bagiczny i wiele innych. Do rezerwatów zaliczonoby również godne ochrony objekty przyrody nieożywionej, jak np. słynne groty kryształowe w Wieliczce, groty i jaskinie wapienne w Ojcowie, gipsowe — w Skorocicach i t. p. Parki narodowe należałoby u nas utworzyć przedewszystkiem w Tatrach, Pieninach, górach Świętokrzyskich, puszczy Białowieskiej.

W Stanach Zjednoczonych, które pod względem ochrony przyrody przodują całemu światu, powstała niedawno myśl stworzenia nowego (poza słynnym istniejącym oddawna w Jellowston) parku narodowego w górach Smoky Mountains, położonych w stanie Tennessee i Karolina. W tym celu góry te, zajmujące przestrzeń ok. 1.000 km.², należy wykupić. Znany bogacz amerykański, Rockefeller, ofiarował już na ten wykup kilka milionów dolarów. „Reszta” napłynie niebawem ze składek drobniejszych.

Polska Liga Ochrony Przyrody, w oczekiwaniu na rodzinnych Rockefellerów i Carnegie'ch, postanowiła zbierać potrzebne fundusze z groszowych składek swych członków. Jeśli — w co nie wątpimy — jej się to uda, to wkrótce powstaną niezbędne środki, które zostaną obrócone na wykup z rąk prywatnych tych obiektów ochrony, których stan obecny najpilniej tego wymaga.

L. R-on.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

LUDZI TYCH WZIĘŁA NA SWE SKRZYDŁA HISTORJA

Chwila ta opisywana i relacjonowana była wiele razy, dokładnie, szczegółowo: Jak w 1914-tym roku w pierwszych dniach sierpnia ówczesny dowódca Strzelca Józef Piłsudski wieczorem, w Krakowie, w Oleandrach, w czworoboku przyszłych żołnierzy polskich — a dzisiaj jakże często dowódców brygad, dywizyj, inspektorów armji, byłych dowódców frontu i w tyłu bitwach wsławionych boha-

terów, — czytał głośno ze spisu skład tych oliczów, szarż i żołnierzy z pośród Strzelców i Drużyniaków, którzy jako 1-a Kompanja Kadrowa, pierwszy przekroczyli granicę zaboru austriackiego i rosyjskiego.

Nikt z tych, którzy tam stali na błoni Oleandrów nie wiedział chyba wtedy, że to chwila od której zaczynają się istotnie pierwsze, pierwsze dni odrodzonego Wojska Polskiego. Nikt chyba nie wiedział tego rozumnie, dokładnie, — materialnie.

Lecz wszyscy czuli nieogarnioną wielkość tej jedynej chwili.

Pośród szeregów młodych żołnierzy panowała cisza śmiertelna, przerywana raz po raz chrzęstem występującego naprzód, w bojowym rynsztunku Strzelca, czy Drużyniaka.

Za opłotkami placu Oleandrów zgromadzona publiczność, to znaczący polscy rekruci, wszelacy politycy i sympatycy, w miarę czytania owych nazwisk, — płakali.

Tak, tak, — płakali, — niema w tem ani cienia przesady. Rozkładali ręce w jakiejś szlachetnej, drżącej bezradzie i płakali rzewnymi łzami, — jak dzieci.

Doprawdy, jakby w tych nazwiskach kadrowców pierwszych, nazwiskach czytanych srogim, wzburzonym głosem Józefa Piłsudskiego, przechodził, przebrzmiewał w powietrzu różaniec, pacierz, modlitwa, suma sławy, — jaka nie brzmiała na tych polach i miejscach od tyłu, tyłu lat.

Nie mam zamiaru opisywać owego wieczora, i chwili i podniosłego nastroju, gdyż sądzę, iż nie potrafiłbym sprostać temu zadaniu i żaden z nas, żyjących dziś pisarzy polskich zadaniu temu nie mógłby wydołać: Są to bowiem sprawy, które mocą ukrytej w nich dynamiki przekraczają stanowczo wszelką możliwość stylu i natchnienia. Sprawy, — które w krótkiej, znikomej zda się chwili, — stanowią dla całego Narodu i dla całej Ojczyzny, czy będzie życie, czy śmierć — czy będzie szczęście, — czy upadek.

Są to sprawy, wymagające oddechu i oddalenia czasu: Czasu nie w sensie błahej banalnej pozłótki i zaciemnienia wyraźnych konturów rzeczywistości. Lecz sprawy, wymagające oddalenia czasu, — by spojrzeć można było z dystansu długich lat, życia i śmierci i przemijania.

Piszący te słowa borykał się z tem zagadnieniem przez cały czas filareckich, strzeleckich i legjonowych wysiłków. Czuli, iż — ludzi tych wzięła na swe skrzydła historia, — nie mógł tego jednak nigdy chyba dostatecznie wyrazić.

Jeżeli więc w tych dniach sierpniowych, gdy dzieli nas od sławnego wieczoru pod Oleandrami lat czternaście, przypominam ów wieczór w Dodatku Literackim Głosu Prawdy, tego właśnie Głosu Prawdy, który, jak żadne inne pismo ma prawo wywodzić się w prostej linii z tradycji brygadowej, — to nie dlatego, bym przypominać chciał wielkie sprawy tym, którzy je sami tworzyli.

Lecz, aby w gwarze olbrzymiej radości najwspanialszych wspomnień oraz wielkiego zjazdu wileńskiego zwrócić uwagę na pewien drobiazg, na pewien szczegół, o którym, być może zapomną dawni moi koledzy a dziś świetna ozdoba polskiej sławy wojennej.

Od szczegółu tego nie odstępę, tak właśnie, jak kiedyś między 1914 a 1917 rokiem nie przestawałem o Was pisać brygadowi koledzy, choć przeżywaliście mnie wtedy zjadliwie „złotym pyłkiem“ i tym podobnemi, jakże w wojennem koleżeństwie przekornemi wyzwickami!

O jakieżto szczegół rozpoczynam tutaj spory?

Przypomnijcie sobie, jak nazywaliście się, wchodząc wówczas, lub już dawniej służąc w wojennym zakonie Strzelca i Pierwszej Brygady? Iluto tam

było pośród Was Gustawów, Konradów, Kordjanów, ilu Borut, ile Strzetuskich, Kmiciców, Bohunów, Cedrów, Krzysstofów, Rafałów, Kryjaków i t. d.?!

Szliście na tę sławną Anabasis polską, prowadzeni geniuszem Wodza, lecz zaiste pod skrzydłem wielkiej i nieprzerwanej ani na chwilę literatury polskiej! Postacie, charaktery, znamiona tej literatury braliście sobie niejako za godło, pod godłem tem walcząc i umierając, z tego godła wymieniani w rozkazach i odznaczeniach Wodza.

Świadczyło to wtedy, zaiste, nie o próżności a o ogromnej kulturze młodych Polaków. Świadczyło o tem, że żywa tradycja, że historia Obyczaju Polskiego ani na chwilę aż do ostatnich dni nie opuszcza polskiego oręcza.

O ten to właśnie szczegół upominam się w radosnej chwili naszych rocznic. Że, dla literatury polskiej pod której skrzydłem szliśmy do pierwszego zwycięskiego Powstania polskiego, choć szaniec dawno już zdobyty, Ci z nas, którzy mogliby wiele, nic jeszcze nie sprawili.

Że wciąż jeszcze sprawy literatury i polskiej sztuki są Wam, czy słusznie mówiąc wszystkim nam, jakoby obce. Że sprawy te leżą w Państwie odłogiem jeszcze, a jakże ruszyć mają naprzód, gdy najdzielniejsi o tych sprawach zdają się nie pamiętać?

Nie w tej chwili rozprawiać o szczegółach porocjach i sposobach wykonania. I nie was, czy też nas wszystkich straszyć szczegółami planu.

Mówię tu przecie i piszę do znakomitych ludzi czynu: Którzy gdy chcą, sposoby i wszelkie konieczne szczegóły sami stwarzają.

I którzy wiedzą przecie, czują, — iż wielki czyn w ozdobie sztuki, obyczaju, dźwięku i pięknej formy zyskuje tyleż, ile dobro zyskuje, gdy jest z miłością podane, a praca z wdziękiem.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

TOBIE, PODHALE...*)

*Tobie chwata, Podhale,
Które w sobie masz ten czar nakażny,
Iś niewolisz serca ludzi z dolin,
Cóż dopiero dusze synów głaznych!*

*Kraju dziwny, w kształt orli statrzały,
Żywo oczom zjawiony z eposu:
Gdzie legendą w niebo pną się skały,
Ludzie prości mienią się w herosów.*

*Zbocza twoje jeszcze dziś zadźwiękną
Dawną nutą zginionej ślebody —
W tobie żyje dar niebiosów: piękno
I dar dziwnej na ludzi urody.*

*) Wiersz, wygłoszony przez autora na Zjeździe Podhalań (7 sierpnia 1927 r.) w Nowym Targu, w odpowiedzi na hołd Podhala, złożony mu z okazji 30-lecia jego pracy piarskiej.

*Tobie chwata, Podhale,
Na wyjątki urodzajna ziemio,
Gdzie, jak kryształ utajony w skale,
Śpiące siły, żywe ognie drzemią.*

*Jeno Słowa, co zakłęcie kruszy,
Jeno ręki cudownej szlifierza —
A rozkwitną blaskiem w pióropusze,
W rozpalone słońca na puklerzach.*

*Skarb zaklęty przed nami otwarto...
Śpiewająco, Bracia, nam się trudzić —
Radosną tu Bóg nas posłał wartą:
Śpiących rycerzy budzić.*

*Oto już zastęp zbudzony...
Patrzę po świecznym Was lesie — —
Wiatr Odrodzenia stąd. . .
Na — wszereż po Polsce się niesie!*

*Tobie chwata, Podhale,
Ziemio, przez cud ukochana, boska!
Cóż ja jestem — pasterz na twojej hali,
Co się sercem o twą wielkość troska.*

*Bo inaczej trudno nazwać w czasie
Tę przez miłość nakazaną służbę,
Gdzie się myśli zatroskane pasie,
A nadzieję — słonko ma za drużbę.*

*Pełnię ją, Bracia, jak umiem —
A przed myślą wizya wstająca:
Podhale, skrólewszczone w dumie,
Wydźwignione aż ku progom słońca!*

*Dla realności onej
Resztą mych sił ochotnie położę,
Niechaj żyje Podhale!
Niechaj wiatrą pod niebo rozgorze!...*

WŁADYSŁAW ORKAN....

Z TRYLOGJI BOHDANA ŁEPKIEGO.

MAZEPA *)

CAR PIOTR NA UCZCIE U HETMANA MAZEPY

Orkiestra zagrała „Hej ne dywujtes” i do bankietowej sali weszło dwunastu chłopców, w białych, falendyszowych kaftanach i w złotych bucikach ze srebrnymi podkówkami.

Wszyscy piękni, jak malowani, równego wzrostu, z równo podstrzyżonymi włosami, wąsy im jeszcze nawet nie zasiewały się. Po dwóch dźwigali wielkie, srebrne półmiski, na których, niby do lotu zrywały się misternie ułożone bażanty. Chłopcy stanęli rzędem od drzwi do kredensu obok którego, za barjerą, krzątał się stary klucznik w towarzystwie dwóch krojczych.

Ci, oglądawszy półmiski, wybrali najpiękniejszy

i wraz z chłopcami, przeszli przez całą salę, aż do pierwszego miejsca, na którym siedział — car Piotr. Obok cara na lewo — Aleksander Daniłowicz Mienszykow, a na prawo — gospodarz domu, Iwan Stepanowicz Mazepa. Krojczy uklonili się nisko i chłopcy stanęli między carem a hetmanem.

Hetman dotknął ręką ciężkiego półmiska i poprosił wysokiego gościa, by raczył nadpocząć potrawę.

Wysoki gość był istotnie wysokim a bujna, ciemna grzywa robiła go jeszcze wyższym, tem bardziej, iż inni goście byli przeważnie uczesani gładko. Uczta trwała już dość długo, jedzono wiele, a pito jeszcze więcej, co odbiło się już na czerwonych policzkach i na oczach roześmianych sytem zadowolonych.

Oblicze Piotra, blade - żółtawe, szerokie, niby wzdęte, podobne było do księżycy w pełni, tylko że na księżycu nie dojrzyysz gołym okiem tych martwych gór — wulkanów, które go pokrywają, a na twarzy cara widać mnóstwo pryszczów, z których strumykami spływał pot, gdyż upał był okropny.

(Połowa lipca, kiedy w Kijowie zaczynają się największe upały). Car porozpinał swój jeneralski kaftan tak, że tylko szarfa orderu Świętego Andrzeja nie puszczą na wierzch koszuli. Ale i to nie pomogło: Podawano mu chustki do obcierania twarzy on zaś mokre odrzucał poza siebie, gdzie stali dwaj lokaje wyciągnięci, jak struna.

Ostatnia chustka upadła wprost na głowę jednemu z nich: lokaj stał bez ruchu, nie śmiąc rzucić ze siebie drogocennej relikwii.

Pułkownik Daniło Apostoł zobaczył to swoim jędym, lewem okiem i uśmiechnął się; za nim poczęli i drudzy śmiać się i trącać łokciami, aż hetman szepnął Wojnarowskiemu do ucha, ażeby uwolnił lokaja od chustki, co ten też i uczynił. Ale właśnie wtenczas car nową chustkę cisnął poza siebie i omal, że nie trafił w twarz hetmańskiego siostrzana.

„O, pardon, mosje Wojnarowski”, — powiedział car i roześmiał się swoim, szerokim śmiechem. Za nim wszyscy głośno, aż sala drżała. Tylko na twarzy jego światłości, Aleksandra Daniłowicza Mienszikowa żaden nerw nie drgnął. Siedział on sżywnie, dziesięcioma palcami dotykając się stołu, nakrytego drogocennym obrusem z licznymi mereżkami i haftami, wykonanemi jedwabiem, w barwach subtelnym,

— Piękne u ciebie, Iwanie Stepanowiczu, ptaki latają”, — rzekł car, wbijając widelec w grzbiet bażanta z taką mocą, że chłopcy z półmiskiem aż przysiedli. „Czy to tutejsze, czy zagraniczne?”

— Z mego futuru na Bodnarówce przyleciały do stóp waszej cesarskiej mości.

— Nie do stóp, a do zębów i do brzucha, hetmanie— odpowiedział car nakładając spory szmat białego mięsa na swój złoty i na hetmański mniejszy srebrny talerz.

Hetman podziękował carowi i głową dał znak krojczemu, ażeby podał półmisek Mienszikowi.

Wówczas reszta chłopców przystąpiła z półmiskiem do stołu; pyszne ptaki rozleciały się po talerzach, tak, że tylko skrzydła i ogony na półmiskach zostały.

— Aby to ptactwo w żołądkach naszych nie fruwało, trzeba je napić anyżówką — rzekł car, zaczem hetman własnoręcznie nalał i podał spory, złoty kubek, na którym po mistrzowsku był wyrzeźbiony pochód Bachusa.

*) Przekład własny autora.

Car podniósł kubek do ust, a na galerji rozległo się „mnohaja lita”, wykonane hetmańskim „porternym”*) chórem. Dyszkanty, alty, tenory i basy były tak pięknie dobrane i ześpiewane, że chór brzmiał, jak czarodziejski instrument.

— Nie wiem, Iwanie Stepanowiczu, co u ciebie piękniejsze, chór czy anyżówka? Jej Bohu, takiej anyżówki odkąd żyję nie piłem, powiedział car i tak gwałtownie kubek na stół postawił, że gdyby był ze szkła, a nie ze złota, — rozleciałyby się w drzazgi.

— Raduje się wielce serce me gospodarskie — odpowiedział hetman, — że nasz trunek domowy przypadł do smaku najdostojniejszemu gościowi i, kiedy śmiałość moja nie przekroczy granic dozwolonej przyzwoitości, to pozwolę sobie jedną beczkę tego napoju potoczyć do wrót nowej carskiej stolicy.

— Ha, cóż, — odpowiedział car, — „Polacy mówią „dobry trunek na frasunek”; tocz, Iwanie Stepanowiczu, tocz! Będziem pić na twoje zdrowie i myśleć, jakby to odwdziżyć ci się za taką anyżówkę. Prawda, Danilicz?”

— „Co wasza cesarska mość powiedzieć raczy, prawda? — odpowiedział książę, zrywając się i stając z rękami „paszwan”.

— „Siadaj waść!” huknął na niego car i szarpnął, za rękaw tak gwałtownie, że Menszikow spojrzał trwożliwie, czy trzyma się jeszcze ramienia.

— „Nie precle sprzedajesz *)” — ciągnął półszepem Piotr, — „tylko u hetmańskiego stołu siedzisz zrozumiałeś? A komplementów mówić mi nie potrzebujesz, bo ich nie lubię. Powiedz raczej, że dobrą anyżówkę ma hetman i że chętnie ją pić będziesz, jeśli ja pozwolę, a pijąc taki prezent jego mości panu hetmanowi obmyślimy jakiego on się nawet nie spodziewa”.

— „Twoje carstwo, najmiłościwszy Panie, i wola twoja”, — odpowiedział hetman — a dla mnie i tego zaszczytu dosyć, iż tak dostojnego gościa dziś w swojej mizernej chacie podejmuję”.

— Daj Boże wszystkim mizerji takowej, jak u ciebie — rzekł car. — I nie tylko u ciebie, Iwanie Stepanowiczu, ale też i u ludzi twoich. Może Koczubej biedny?

— Hetmanowi wiadomo, jak biedno w moim domu — odpowiedział przysłowiem generalny sędzia, Wasyl Koczubej, wywołując ogólny śmiech, gdyż wszystkim znane były jego olbrzymie majątki.

— Wesoly naród Małorosjanie — ciągnął car. — Tutaj nawet karłów i błaznów nie trzeba, a moi ponadymają się jak sowy, że mi i jedzenie moje nie smakuje. Należy jeszcze, Iwanie Stepanowiczu tej anyżówki, bo jej Bohu, dobra!”.

Hetman nalał, car pił, chór śpiewał „mnohaja lita”.

— Piękny kraj ta wasza Ukraina, tylko gorąc tu wielka i do morza daleko. Jabym te porohy do djabła hetporozbijal i flotyle na Pontus Euxinus puscił, tureckiemu sułtanowi pod sam jego nos zakrzywiony. Prawda, Danilicz?... Pomyślimy nad tem.

Mienszikow z przyzwyczajenia znowu chciał zerwać się z miejsca, ale car położył mu rękę na kolanie tak, że księciu aż w nogach zatrzęsło.

— No, otóż! — ciągnął car. — Ale ty, Iwanie Stepanowiczu, wybacz mi to słowo, lecz głupi jesteś!

(D. c. n.).

*) Na cztery głosy.

*) Alluzja do tego, że Menszikow w swojej młodości był czeladnikiem piekarskim.

ANDRZEJA MAURROIS AFORYZMY O ROZMOWIE

Dzieje twórczości zaczyna pisarz od lirycznych wierszy, przechodzi następnie do epiki, kończy piarską karierę na dramacie. Tak sądził Adam Mickiewicz, który nie doszedł nigdy do wymarzonej formy. Mimo lat coraz późniejszych ciągle jeszcze było na formę dramatu, w jego mniemaniu, zawsze.

Przy dzisiejszem pomieszaniu dawnych i tworzeniu się coraz nowych pojęć, przestało istnieć i to dawne pojęcie hierarchji form literackich. Czternaścieletni młodzieńcy piszą aforyzmy o niebiecy, męzowie stanu tworzą przepisy o waflach i sznycłach, a panny stułetnie, które dawniej drukowałyby historyczne powieści o królowej Jadwidze, wydają tomiki wierszy futurystycznych.

Aforyzm dawniej poważny, głęboki, w formie spokojny, jasny i epiczny dziś stał się, jeśli można użyć tego buduarowego porównania, literacką pyjamą. Nie tyle nawet lekką, co niekłępującą. Dziś cię proszą o tomik do jakiejś kolekcji, jutro już go masz. Wszystkie zdania, powiedzenia własne i cudze, jakie znasz i pamiętasz, notujesz w tym porządku w jakim ci przychodzą na myśl, nie trzeba bowiem tępemi prawami logiki wiązać biegu intuicji. Po tygodniu książka jest na półkach, po dwu nikt jej już nie pamięta. Chyba, że ją wydano na jakimś cennym papierze, wtedy mówią o niej bibliofile, — dobra i taka pamięć i lepsza nieśmiertelność z luksusowego papieru, niż żadna.

Każda epoka przynosi nowy kodeks praw, i dawne przepisy zmienia, może więc niema nawet powodu dziwić się, że nadano inne znaczenie, czy odebrano dawne znaczenie aforyzmom. Rozpatrzmy znaczenie i prawa tego nowego zjawiska. Bajki bardzo późno stały się poważnym literackim rodzajem. Może więc i dwudziesty wiek, twórca wielu, do dawnych rodzajów twórczości, przydał jeszcze jeden. Nazwijmy ten nowy rodzaj: uwagi i myśli.

Dawny aforyzm był tworem koncentracji, pogłębienia, i krystalizacji, nowe myśli, czy uwagi będą improwizowane pod wpływem chwilowego nastroju. Będzie je równie łatwo czytać, jak zapominać.

Rozważmy, jakie ma prawa samotna myśl, czy uwaga. Po pierwsze myśl ta powinna mieć autonomiczny żywot. Mogę powiedzieć tylko powinna, a nie ma, bo właśnie tego elementu, prawie żaden esteta dać jej nie może.

Pomiędzy „uwagami i myślami” dają się spostrzec trzy rodzaje, czy trzy odmiany tej nowej formy. Primo spostrzeżenia: które starają się skryształizować w jednym zdaniu pracę myślową o tej czy innej sprawie. Secundo, uwagi chcące w jednym zdaniu wyrazić ten, czy inny stan uczuciowy i wreszcie, tercio, zdania z trudem oszczędzające słów, które mają opisać charakterystyczne według autora zdarzenie, wypadek, czy nastroj. Zatem skryształizować myśl, skryształizować sentyment, czy wreszcie najłatwiej, wiemy co jest w niej najważniejsze, i jakie z niej elementy można bez szkody usunąć. Proces krystalizowania odbywa się podobnie do roz-

wiązywania zadań algebraicznych, gdzie wyraz bardzo skomplikowany przetwarza się stopniowo na coraz prostszy, aż wreszcie w dole zeszytu, po rozwiązaniu zadania można napisać jedynie pierwszy i ostatni wyraz, punkt wyjścia zadania i jego wynik.

Czytelnik wolniej, czy prędzej dopełni brakujące wyrazy, zależnie od większego, czy mniejszego współnictwa umysłowego z autorem. W każdym razie zadanie jest zawsze do odgadnięcia. Elementy jego i sposób rozwiązywania są nam znane.

Inaczej sprawa się przedstawia z myślą, czy uwagą która ma ujmować duchowe, czy uczuciowe stany. Prawa logiki myślowej są, czy powinny być stałe, można więc odgadnąć zadanie rozumowe. Natomiast nie może być mowy o jakiejś znormalizowanej, czy ogólnoludzkiej logice uczuć. Rozumowania o wierze, Bogu, miłości, czy obowiązku wywołują myślowe konsonanse, czy dysonanse. Przeciwnie — najgłębsze spostrzeżenia o własnym sentymentalnym stosunku do, dajmy na to, postaci Chrystusa, może, jeśli ten stosunek nie jest identycznym ze stosunkiem czytelnika do Chrystusa, nie wywołują nawet rezonansu. Zdania takie są nietylko puste dla czytelnika, lecz żenujące powagą przedmiotu. Aforyzm jednego z młodszych estetyków polskich o tem, że Chrystus miał piękne ręce, posiadało takj właśnie posmak. Zdanie to miało wyrażać stosunek autora do pewnych elementów w historycznej postaci Chrystusa, słodyczy jego i kobiecości. Czytelnik jednak, o ile nie ma identycznego stosunku uczuciowego do danych spraw, nie będzie mógł odczuć w jaki sposób autor tych ogólnych rozważań, które pewnie były tylko nastrojem, doszedł do skryzalizowania ich w takim, a nie innym zdaniu o rękach Bożego Syna. Przypomina to źle zanotowany wykład. Notatki takie może mówią coś ich autorowi, dla innych są bezbarwnym hermetyzmem, który, jak to doświadczenie okazało, trudno nawet uszanować.

Autor, który w swoim stosunku do Boga spostrzega elementy w jego mniemaniu ciekawe i decyduje się ten stosunek określić, musi ten stosunek skryzalizować w planie intelektualnej pracy myślowej, inaczej pozostanie on w mglistej dziedzinie prywatnego sentymentu. Jeśli nie potrafi go przetransponować, czy też nie chce — może go wyrazić wierszem lirycznym. Nie można jednak tych dwóch technik połączyć. Wiersz liryczny jest, pamiętajmy o tem, zaprzeczeniem aforyzmu. Aforyzm krystalizuje sprawy życiowe w płaszczyźnie sentymentu. Pomieszanie form jednej i drugiej płaszczyzny okazuje się w praktyce niemożliwe, czy raczej możliwe lecz nie budzące żadnych wzruszeń artystycznych, ani intelektualnych. Dlatego trudno w pierwszych czasach tworzącej się miłości o niej mówić. Poczy-na się ona w płaszczyźnie uczuciowej, słowo epickie, czy epickie opowiadanie jest tworem i narzędziem umysłu, stąd naiwność i śmieszność takich opowiadań. Śmiejemy się z innych, a kiedy sami przechodzimy podobne uczucia widzimy, jak bardzo trudno je wyrazić. Mimo to podobne uczucia będą nas zawsze śmieszyć i żenować, i takie same wrażenie dawać nam będą omawiane sentymentalne aforyzmy.

Równie fałszywy i aforystycznie pusty choć mogący ukrywać pewne niesprawdzalne, przy takim

postawieniu rzeczy wartości, są tak nazwane zdania i uwagi o nastrojach, albo próby ujęcia w krótkim spostrzeżeniu opisów, czy wszelkich, najczęściej skomplikowanych wrażeń zmysłowych. Sprawy ten naturalnie odbywają się w płaszczyźnie przeżyć czysto zmysłowych, nie przetransponowanych w płaszczyźnie zjawisk intelektualnych. Mamy podobne, jeżeli nie identyczne, zjawisko z opisywaniem przed chwilą. Zjawiska pewnej kategorii stara się autor ująć formą, a co najważniejsza logiką kategorii innej, odrębnej i obcej.

Weźmy konkretny przykład, aforyzm z omawianej książeczki Andrzeja Maurrois:

„Przyszedł — tak brzmi wybrany za przykład aforyzm — aby widzieć ją samą, zastał dwie ciotki i trzy kuzynki. Starał się dodać sobie otuchy i odwagi, starał się rozmawiać przyjemnie i z werwą, ona spostrzegła jego cierpienia i czuje w sobie trochę ironji i wiele współczucia”.

Albo: „Siedząc obok wielkiego człowieka, którego wszystkie książki czytała, pragnie, napróżno, rozpocząć z nim dłuższą rozmowę. Nie spostrzega obok siebie nieznanego młodzieńca, któryby jej umiał opowiedzieć tyle pięknych rzeczy”.

Uwagi te, pewnie słuszne, wydają się być raczej przeżyciami niż spostrzeżeniami. Czytelnik szanuje przeżycia autora tem więcej, że są smutne. I przykro mu się przyznać, że go te przeżycia nudzą. Zaledwie zdołały zwrócić jego uwagę, a już przerywają się i kończą. Nastrój czy widok, który się zaledwie zaczął przed naszymi oczami tworzyć, ginie, na rzecz innego nastroju, który jest dzięki temu w omawianej książeczce, tylko słowem, czy zdaniem.

Przypomina to przedpokój, czy poczekalnię, w której oglądamy album z widokówkami miejsc nieznanych. Lecz, jeśli nawet znamy te miejsca, do czego ma służyć jego ewokacja. Aforyzm, który krystalizuje jakąś myśl, zdoła na sobie zatrzymać naszą myśl, jako interesująca łamigłówka czy zadanie. Podobnie może zwrócić naszą uwagę dłuższy opis, który stwarza przed naszymi oczami obraz, widziany czy nawet nam obcy. Każdy jednak spostrzeże wielką różnicę między stworzonym obrazem spacerującego w „Przedwiośniu” policjanta przed kawiarnią, a przytoczonymi blademi akwarelami. Wierzmy, że przedstawiając one sprawy prawdziwe. Aby jednak ożywić omawiane akwarele choć trochę, musi czytelnik użyć wiele bardzo imaginacji. Wtedy nie wiadomo nawet, kto będzie ich autorem. Miał autor służyć swą imaginacją twórczą a w rozpatrywanym wypadku przerzuca obowiązek twórcy na czytelnika, i, pożałuj Boże, jego domysłność i imaginację. Nawet jeśli w myśli autora mają to być tematy do robótek myślowych czytelnika dla czytelnika, to przyznać należy, że nie są one nalezycie głęboko postawione. Ten rodzaj twórczości jest więc najzupełniej chybionym i nawet taki pisarz, jak Andrzej Maurrois jest w nim płytki i nudny.

I będzie w nim nudny każdy pisarz przyzwyczajony do tworzenia faktów, zdarzeń czy opisów z całym bogactwem i z dezynwolturą miejsca. Pewien tylko rodzaj autorów, czy raczej umysłowości, bo pośród tego rodzaju umysłowości nie spotyka się

wielu artystów, jest w stanie taką formą ciekawie operować. Są to umysłowości, które z reguły transponują każde spostrzeżenie, każdy nastrój czy sentyment w dziedzinę przeżyć intelektualnych, które starają się przepracować myślowo i w tej płaszczyźnie skonkretyzować wszelki materiał dostarczany im przez zmysły.

Tęgo rodzaju psychikę posiada np. Paweł Valery. Psychikę jego charakteryzuje wstydlivość w podawaniu rzeczy wprost. Sprawy życiowe stają się dopiero wtedy materiałem twórczym w mniemaniu Pawła Valery, kiedy przestaną nosić charakter bezpośredniej surowości życiowej. Świat artystyczny Pawła Valery, tworzony przez intelekt, jest doskonałą całością, z poza której nic nie wykracza. Prawa logiki myślowej i prawa logiki artystycznej zeszyły się w tej twórczości całkowicie. Stanowią one nawet nie całość, a identyczność. Tu spoczywa źródło tej harmonii którą posiadają dzieła aktora „Cahien”. Nastroje i opisy są podawane nam przez Pawła Valery wspólnym, czy najbardziej uzgodnionym przez ludzi językiem inteligencji i myśli. Dzięki temu obcy nawet nastrój, czy sentyment może być przez nas łatwo odczytany. Jest to jednak wyjątek, wyjątek mimo tego, że tworzy w życiu literackim Francji wielkie i potężne reguły. Posiadając taką psychikę, ten rodzaj budowy duchowej, jest się rzadko kiedy artystą. Jeśli być artystą, znaczy pisać powieści czy wiersze, malować, rzeźbić, albo stawiać piękne gmachy. Nie może być bowiem w zasadzie artystą człowiek, wrogi imaginacji i fantazji, człowiek, który się jej wstydzi i uważa ją za niską i prostą swą psychiki właściwość. Człowiek taki zwalcza swoją imaginację i trzeba takiego wyjątku, jakim jest Valery aby z walki z fantazją mimo zwycięstwa, która daje wielkość ducha, wyszedł artystą. Trzeba poza fantazją posiadać inne równie wielkie i silne elementy twórczości, jak w danym wypadku twórczą inteligencję i łatwo krystalizującą się intuicję. Powtarzam jednak, że Valery jest wyjątkiem.

Andrzej Maurois nie może być niestety wliczony do takich wyjątków. Jest dobrym, i jak na francuskie powieści, głębokim psychologiem, poprawnym stylistą, lecz nie twórcą języka, któryby mógł nowe sprawy wymagające nowej formy, opracować. Jest poetą, miłym, choć nie głębokim, posiada znaczną kulturę i umiar. Jest typowym *homme de lettres*. Granic jednak, wyznaczonych przez rodzaj i jakość swoich zdolności nie powinien przekraczać.

Tadeusz Breza.

O CZYTELNIKU I TWÓRCY *)

Stosunek czytającego do książki, albo inaczej stosunek odbierającego, przetwarzającego do twórcy — oto rzecz, która warta jest nieco choćby za stanowienia ze strony tego ostatniego.

*) Drukując niniejszy artykuł w myśl zasady udzielania głosu naszym czytelnikom, żałujemy, iż *Czytelnik z Krakowa* ograniczył się do spraw zasadniczych a nie przeprowadził ich w odniesieniu do współczesnej twórczości polskiej.

W istocie był czas najwyższy, że sprawę tę poruszył ostatnio w swym artykule (Dodatek literacki *Głosu Prawdy* Nr. 251) p. Hulka-Laskowski.

Zabiorę tu głos, jako czytelnik, bo przecież „*tua res agitur*”, — brzmiało wezwanie.

To wszystko, co mówi p. Hulka-Laskowski, zwłaszcza zaś w II. części artykułu, gdzie stwierdza, że „talent percepcyjny jest niezawodnie powszechniejszy od talentu twórczego”, oraz że trzeba, aby poeta „przestał się silić na sztukę sztuczną, która jest potwornością”, są to rzeczy naprawdę szczerze radujące serce i umysł czytelnika, należącego może do tych, których „zainteresowania stoją powyżej całej naszej średniej produkcji literackiej”.

Chciałbym zaznaczyć i podkreślić: są ludzie, dla których książka jest wszystkim. Ot nic — książka — 2—3 centymetrów grubości, tysiące czarnych, równych liter — a to wszechświat cały, a to najbardziej realne, wstrząsające przeżycie. I ten czytelnik czyta, czyta pilnie, czyta bardzo dużo. I znajduje: mało jest prawdziwych, mało jest wielkich twórców. Tych, którzyby naprawdę mieli coś do powiedzenia, tych, którzy nie silą się na kaskady grzmących, łopoczących, panoszących się słów, ale w najprostszy sposób, stwarzają rzecz najcudniejszą: oto żarliwość życia, oto prawdę o duszy i sercu, o narodzinach, miłości i śmierci, prawdę wiekuiącą, tę samą w każdej epoce i pod każdym nieboskłonem. I tylko ci pisać winni, tylko ich książka stać się może przeżyciem dla łaknącego człowieka.

Poco dziś tyle, tyle bezpotrzebnych książek? Wszak ostoją się, przetrwają tylko nieliczne. Chęć wypowiedzenia się, ambicja osobista, rozrośnięta nieraz do zwyrodniałych form, wyrzucają na rynek setki, tysiące nikomu niepotrzebnych książek. Czytelnik (jakiego czytelnika mam na myśli, powiedziałem już), bierze je i odrzuca po 10-tej stronie. Ma ich dość, i nieraz na długo dość całej literatury! Albo czyta książkę, książka jest nawet dobra, należy bezsprzecznie do tych, które czytamy z przyjemnością. Autor bez wątpienia chciał nam coś powiedzieć. A jednak nie powiedział t e g o właśnie. Czujemy: to nie to. Czekamy ciągle na to słowo, mające być rzutem duszy piszącego, mające błyskiem wpaść w czarność powikłań. Ale czekamy daremno.

I gdy czytamy wiele, pojmujemy, tylko nielicznym, zupełnie nielicznym dana jest owa boska możliwość wypowiedzenia, dana jest owa zaprawdę z wszechświata idąca moc ujawnienia tego, co w nas wszystkich wibruje, niby organny dźwięk pod krustą codzienności, jako najgłębsza, odwieczna prawda, jako najistotniejsza wiedza o nas samych i świecie.

Wszyscy inni piszący miela na sieczkę rzeczy tysiąckrotnie powiedziane i powtarzają bez końca banalne płaskości, odziewszy je naprzód w krzyżacy, hałaśliwy strzęp „słoworóbnych” słów.

Jeśli pod twórczością rozumieć będziemy immanentne, tkwiące w człowieku ujęcie i widzenie świata, natenczas i czytelnik może być twórczy. W nim jednak jest ta twórczość w stanie utajonym, potencjalnym, nie objawiającym się na zewnątrz. Natomiast ma taki czytelnik dar niezwykle żywej reakcji na ujawnienie wizji, obrazu świata, podane mu przez twórcę. (Może taki właśnie czytelnik jest genial-

nym). Człowiek tworzący, a więc emanujący na zewnątrz u siebie przewartościowywać energią potencjalną na kinetyczną, idzie więc głównie o samą treść, o samą zawartość energii, która ma być ujawniona. Bowiem nieraz zdarza się tak, że nie staje skórki za wyprawę. Samo mówienie nie jest jeszcze wszystkim, przynajmniej nie jest i nie może być wszystkim dla czytelnika.

Autor, pisarz musi sobie jasno i wyraźnie postawić, jako pierwsze pytanie: czy mam tyle do powiedzenia, by z tem iść do innych, obcych mi zupełnie?

Dopiero, jako drugie, pytanie: czy potrafię to powiedzieć tak, jak czuję i widzę?

Zwykle jest u nas naodwrot.

Naprzód stwierdzenie (nawet bez pytania): potrafię mówić, więc mówię, krzyczę, tworzę. Drugie pytanie wogóle nie istnieje. I stąd cięży nad całą naszą rodzimą twórczością ogromna, złowieszczą przewagą płycizny treści — zato w złoconej ramie słów. Ale słowa nie uratują niczego i n i k o g o!

Czytelnik. (Kraków).

CONRAD - KORZENIOWSKI

Conrad był zawsze Polakiem z ducha i serca, a książki jego i cały świat jego ntyśli stać się winny własnością polskiego czytelnika. Nietylko dlatego, że Conrad był jednym z najgłębszych artystów, jakich wydała ludzkość i nietylko, że był geniuszem, któremu laurowy wieniec na czoło kładli najwięksi z pośród wielkich, lecz także i przede wszystkim, że chociaż oddalony od nas morzami i lądami, nigdy nie przestawał pracować dla Polski, zawsze i przy każdej sposobności. W poufnych rozmowach przyjacielskich, czy w wystąpieniach publicznych i publicystycznych, gdy trzeba było, sprawę Polski odważnie rzucał na karty swej pracy, a w ostatnich latach swego życia, ogarnięty tęsknotą do kraju — i cierpiący na „mal du pays”, — jak się wyraził jeden z jego przyjaciół, wybitny pisarz angielski Galsworthy, gotował się Conrad do likwidacji swych spraw w Anglii i do ostatecznego powrotu do Polski.

Nostalgja ta była jakby wołaniem wewnętrznego głosu, który w chwili śmierci upominał się o kraj urodzenia; była wyrównaniem tej krzywdy, jaką Polska poniosła przez formalną wprowadzanie utratę jednego z największych swych synów.

Istnieją jakieś wielkie tajemnicze prawa sprawiedliwości historycznej i indywidualnej. Zanurzeni w codziennym trudzie życia, łudzeni i okłamywani pozorną dowolnością i przypadkowością wydarzeń, dopiero na szerokich przestrzeniach czasów, po upływie całych okresów lat, orjentujemy się że w każdym wysiłku człowieka, w przypadkowym pozornie splotcie faktów, w krzywdzie i w radości, w klęsce i w upojeniu zwycięstwem, kryje się głęboki sens ludzkiego losu. Niema na naszej drodze ani takiej krzywdy, ani takiej zbrodni któraby gdzieś później nie znalazła swego refleksu wyzwolenieckiego i nie stała się przyczyną wielkiego wyrównania. I tem głębszego odkupienia im większem było zło, jakie spotkało człowieka.

Życie Conrada jest przykładem jednego z największych wyrównań krzywdy i cierpienia, które mogło stać się udziałem Polaka, zmuszonego kolejami losów swego narodu strzepnąć pył rodzinny ze swych sandałów, opuścić Polskę, Kraków i najbliższych i szukać szczęścia na szerokim nieznanym świecie.

Dzisiaj Conrad wraca do Polski. Powraca dzięki wielkiej inicjatywie Stefana Żeromskiego, który w przedmowie do „Fantazji Almayera” złożył wzruszający hołd genialnemu powieściopisarzowi i dzięki pięknym przekładom p. A. Zagórskiej.

Historję życia Józefa Conrada - Korzeniowskiego, nakreślona ręką jego biografa, Ryszarda Curle, czyta się, jak najfantastyczniejszą powieść o zwycięstwie człowieka nad złym losem. Bo istotnie fantastyczną jest karjera Conrada, który po śmierci swego ojca — powstańca, wyjeżdża w r. 1874 z Krakowa, mając lat 17, zatrzymuje się w porcie Marsylskim i następnie w ciągu 20-u lat wędruje po wszystkich morzach, światach i krajach, — zrazu jako zwykły marynarz okrętowy, a już po 10-u latach, dzięki usilnej pracy i odbytym studjom, jako kapitan angielskiej floty handlowej.

Nikt bardziej od Conrada nie był wydziedziczony z ziemi ojczystej nikt w ścisłem tego słowa znaczeniu, bardziej pozbawiony stałego gruntu pod stopami. Po 20-u latach, w których przemierzał oceany stawał w twarz każdej tajemnicy rasy, kultu i obyczaju, wylania się nowy człowiek, zgoła odmienny i różny, wydobyty tylko z siebie samego i z przeżyć, jakich sam w najcięższym trudzie życia doświadczył. W ciągu tych długich wędrówek, pływał nn rozmaitych statkach, poznawał setki i tysiące ludzi, rozszerzał i pogłębiał swą wiedzę o życiu i przygotowywał się do najświetniejszego zawodu, jaki może być udziałem człowieka, — do zawodu pisarskiego.

Przygotowywał się podświadomie niejako i nieprogramowo. Narastała w nim żądza twórczości, a pierwsza jego praca powieściowa, którą zdobył sobie odrazu stanowisko w literackim świecie Londynu, „Fantazja Almayera” była właściwie zbiorem refleksyj i spostrzeżeń, napisanym na marginesie i w czasie wędrówek morskich. Z górą 5 lat pozostawała ona w biurku kapitańskiego i dopiero po opuszczeniu morza w r. 1894-ym Conrad przesłał ją do druku. Odtąd, osiadłszy już stale na lądzie, z gorączkowym pośpiechem zaczyna wydawać jedno dzieło po drugim. Jak gdyby otworzyły się szczelnie zamknięte dotąd źródła jego twórczości, jak gdyby nagromadzona przez szereg lat suma obserwacji, doświadczeń i wizyj artystycznych, nabrała niebywałej prężności dynamicznej. Zaczynają pokazywać się kolejno utwory „Wygnaniec”, „Murzyn z załogi Narcyza”, „Niesamowite Opowieści”, „Lord Jim”, „Nostromo”, „Tajfun”, „Zwierciadło morza”, „Tajny agent”, „Sześć opowieści”, „W oczach zachodu”, „Między lądem a morzem”, „Wspomnienia osobiste”, „Los”, „Zwycięstwo”, „Smuga cienia”, „Złota strzała”. Każda z tych książek jest wydarzeniem artystycznym, a „Lord Jim”, „Murzyn z załogi Narcyza”, „Nostromo” i „Zwycięstwo” są arcydziełami literatury wszechświatowej.

W dziełach swych i w swej sztuce był Conrad obywatelem całego świata. Na lądzie i na morzu, w Europie i pod zwrotnikiem, wśród rozhukanego żywiołu, w obliczu nieogarniętej tajemnicy gwiaździstego nieba na opustoszałych wysepkach oceanu i w rojnych portach Zachodu i Południa, — wszędzie był ten Polak z urodzenia, Anglik z pracy, piewicą życia i piękna, mistrzem słowa i obrazu, twórcą, któremu każde zjawisko odkrywało własne nieśmiertelne prawdy.

Skończony, skoncentrowany w sobie i bardzo świadomy artyzm tej twórczości, tylko w pewnym stopniu może tłumaczyć znaczenie i wpływ Conrada na współczesne sobie pokolenie i epokę. Tajemnica jego powodzenia leży głębiej. Conrad, jako prozaik, epik i obserwator, umiał rozszerzyć horyzont dostrzegania dzisiejszego człowieka w olbrzymie perspektywy. Ścigał białego człowieka po najbardziej egzotycznych zakątkach ziemskiego globu. Zaglądał mu w oczy w niebezpieczeństwie, w miłości i bólu, w porywie bohaterskim, tchórzostwie i nikczemności, ukazując niezgłębioną dziwaczność twardej psychiki zdobywcy nieznanych krajów. A z każdego wyścigu i pojedynku z żywiołem życia, wynosił zawsze cichą i weczną jak milczenie, prawdę o duszy człowieczej, która bez względu na ramy, na tło, środowisko, pochodzenie i rasę, wchłania w siebie majestatyczne piękno życia, piękno nieogarnione w artystycznej kontemplacji, piękno twórcze i zapładniające w bojowym borykaniu się z żywiołem natury i ze zmysłową furją namiętności.

To ujmowanie człowieka na tle bezkresu przyrody, ujmowanie go w pozycji kontemplacyjnej i twórczej zarazem, ta świadoma i często realizowana tęsknota za wydobyciem z jednostki harmonijnego dwugłosu, — kontemplacji i aktywności, zapatrzenia się i twórczości, elementów religijnych i realistycznych, — czyni z Conrada pisarza o klasycznej pełni wyrazu.

Jego egzotyzm nie jest egzotyżmem sensacji i efektu, a jedynym jego celem jest to, co pisze w mądrej i pięknej przedmowie do „Murzyna”:

Cel, który staram się osiągnąć, pisze Conrad, jest następujący: chcę, abyście przez potęgę pisanego słowa mogli słyszeć, czuć, a przede wszystkim widzieć. Tylko to, nic więcej, a to jest wszystko. Jeżeli mi się powiedzie, znajdziecie w moim dziele to, czego pożąacie: pociechę, zachętę, przerażenie i zachwyt, a może i ten błysk prawdy, którego zapomnieliście się domagać. Zdobyć się na odwagę i wyrzucić szmat życia nieubłaganemu czasowi, to dopiero początek zadania. Właściwy cel polega na tem, aby ten ocalony fragment życia ukazać wszystkim oczom w świetle szczerości, oddać jego tętno, jego barwę, jego kształt i poprzez jego ruch, kształt i barwę, objawić istotę jego prawdy, odsłonić tajne źródło jego natchnienia: siłę i namiętność — rdzeń każdej chwili”.

Ten fragment samokrytyki, nie silący się na filozoficzne określenia, wprowadza nas w istotną treść Conradowych celów i urzeczywistnień.

Jest on naprawdę poetą siły i namiętności. I dlatego tak bardzo współczesnym, tak bardzo rozumianym i dlatego jednym z wychowawców wielkie-

go narodu angielskiego, który przez siłę i namiętność stanął w rzędzie najpierwszych.

Pisano, że Conrad odkrył Anglikowi morze. Sąd ten wymaga pewnego uzupełnienia. Conrad ukazał dzisiejszego człowieka na morzu, objawił go wyspiarzowi i mieszkańcowi kontynentu w walce z najstraszliwszym, najgroźniejszym i bosko pięknym żywiołem. W walce tej zwycięzca zostaje szłowiek. Bo i jakże inaczej? Optymizm, bijący z każdej książki Conrada i z każdego jego obrazu jest zdobyczą, którą okupuje artysta mozolnym wysiłkiem i nieustającą niemal walką do upadłego.

(D. n.)

E. Breiter.

BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA W R. 1927|28

Jest rzeczą ogólnie znaną i uznaną, że warunki, w jakich Biblioteka Jagiellońska musi pracować nie odpowiadają jej normalnemu rozwojowi. Od szeregu lat podnosi się, że Biblioteka potrzebuje więcej miejsca, licniejszego personelu i wyższego uposażenia. Również często zwracano na to uwagę, że starożytny gmach Collegii maioris jest dla pomieszczenia zbiorów bibliotecznych nieodpowiedni. Ostrzeżenie to doczekało się w bieżącym roku bolesnego stwierdzenia, kiedy zaczęły grozić zawaleniem stropu i na gwałt trzeba było przenosić książki z zagrożonej sali (stuba communis) do innych i składać je z braku miejsca na podłodze.

Do będących do dyspozycji szczupłych środków trzeba było przystosować działalność Biblioteki.

Szczególnych starań dołożono w tym roku do naprawy i odnowienia budynków. Przystąpiono również do zastępowania grożącego zawaleniem stropu w stuba communis przez konstrukcję żelazo-betonową. Remont wewnętrzny przeprowadzono również w kolegium Nowodworskiego.

Od jesieni u. r. przystąpiono do reorganizacji wewnętrznej, dążąc do usprawnienia funkcjonowania Biblioteki, ułatwienia korzystania z niej, oraz szybszego i dokładniejszego opracowania zbiorów.

Stworzono osobną czytelną gazet i udostępniono czytelną rękopisów i starszych druków także w godzinach popołudniowych. Opracowano nowy regulamin korzystania ze zbiorów oraz instrukcje wewnętrzne dla całego szeregu działów Biblioteki i biur.

Nowe nabytki wpływały do Biblioteki z trzech źródeł: 1) z darów, 2) z kupna, i 3) bezpłatnego obowiązkowego egzemplarza bibliotecznego. W postaci cyfr przedstawiają się zbiory B. J. następująco w porównaniu z rokiem ubiegłym w nawiasie:

Druki 522.580 (511.309), inkunabuły 2.951 (2.951), rękopisy 6.592 (6.566), dyplomy 439 (434), ryciny 14.716 (14.588), mapy 3.341 (3.341), nuty 4.494, medale 40 (39).

Korzystanie z bogatych zbiorów B. J. było i w tym roku uzależnione od szczupłości miejsca w czytelniach, a nawet jeszcze więcej ograniczone niż w latach ubiegłych skutkiem przeprowadzania remontu kolegium Nowodworskiego oraz unieruchomienia części zbiorów skutkiem wspomnianego stanu stropów, grożącego katastrofą.

Dla ilustracji podajemy odnośne daty statystyczne wraz z danymi roku ubiegłego w nawiasach: Czytelnia główna: odwiedzin 38.050 (49299), wydano / tomów 100.960 (172.943); wypożyczalnia: wypożyczeń 11.992 (13.392), wydano tomów 15.433 (17.369).

Spadek cyfr jest właśnie wynikiem wyżej wspomnianych niepomyślnych warunków. Nowy gmach to nieunikniony najważniejszy warunek racjonalnego funkcjonowania i rozwoju tej najstarszej naszej księżnicy, a dalej powiększenie etatu i dotacyj.

**

Załączone sprawozdanie świadczy o poważnych staraniach najstarszej i najcenniejszej Biblioteki państwowej w kierunku usprawnienia jej funkcjonowania. Ponieważ Biblioteka Jagiellońska, jak zresztą wszystkie nasze biblioteki uniwersyteckie jest zarazem księżnicą publiczną, z owoców tych starań korzystać powinni nie tylko studenci i profesorowie, ale i wszyscy czytelnicy, potrzeby i zainteresowania których zaspokoić mogą najlepiej, mimo wszelkich braków, wyposażone biblioteki krajowe. O życiu jednak innych bibliotek uniwersyteckich wiadomości w prasie mamy bardzo skąpe. Zaznaczyć przytem wypada, że jeśli biblioteki Jagiellońska i Lwowska Uniwersytecka miały zapewnione podwaliny bytu i rozwoju na długo przed r. 1924, biblioteki uniwersyteckie warszawska, poznańska i wileńska powstały, jako polskie księżnice, z uderzeniem godziny Niepodległości Polski, a o dorobku ich organizacyjnym ogół nasz prawie nic nie wie.

W zmienionym statucie Min. W. R. i O. P. figuruje nowy referat czy wydział: propagandowy, który mógłby zwrócić uwagę na powyższe zaniedbanie.... Powinniśmy być wdzięczni za inicjatywę Biblioteki Jagiellońskiej, która przykładem swoim zachęci może innych bibliotekarzy do chętniejszego udzielania ogółowi czytającemu sprawozdań o pracach podległych im instytucyj.

O DROGI BIBLIJOFILSTWA POLSKIEGO

Historja biblijofilstwa polskiego, jako ruchu zrzeszonego, jest bardzo niedługa; pierwsze towarzystwo biblijofilskie powstało w 1921 r. i w tymże roku ogłosiło swój statut. Młody ruch wykazał jak dotąd dużą tężyźnię, znaczny rozmach. Świadczy o tem mnożenie się ośrodków biblijofilstwa, których dziś mamy nie mniej jak jedenaście, a mianowicie: w Kaliszu, w Krakowie, w Lublinie, we Lwowie, w Łodzi, w Paryżu, w Poznaniu, w Toruniu, w Warszawie, w Wilnie oraz w Zamościu.

Świadczy o tem również wyteżona działalność wydawnicza poszczególnych towarzystw biblijofilskich oraz powodzenie dotychczasowych zjazdów biblijofilskich.

Zjazdy te jednak pod jednym i to zasadniczym względem nie spełniły swego zadania. Na żadnym z nich nie rozwinęła się planowa dyskusja nad najistotniejszymi zagadnieniami organizacyjnymi biblijofilstwa, dyskusja mająca na oku ocenę osiągniętych wyników oraz wytyczenie racjonalnego programu na

przyszłość. A przecież pora już najwyższa zastanowić się, czy drogi któremi kroczy biblijofilstwo polskie są właściwe, czy przez wspólną, należyte skoordynowaną działalność istniejących ośrodków nie możnaby przystąpić do realizacji szerszych planów.

Cel uwag niniejszych jest znacznie węższy; chodzi jedynie o sumaryczną ocenę dotychczasowej produkcji wydawniczej ze stanowiska biblijofilskiego. Aby dojść w tem do wyników konkretnych, trzeba pokusić się o określenie istoty biblijofilstwa. Najłatwiej oczywiście o definicję negatywną. Wszyscy zapewne zgodzą się z tem, iż żyłka kolekcjonerska nie jest istotą biblijofilstwa, że łączywość biblijomańska, zobrażowana w „Antykwariuszu“ Waltera Scotta, lub w owej ponurej noweli Flauberta, łączywość granicząca niekiedy z obłędem i zbrodnią, jest tegoż biblijofilstwa zaprzeczeniem.

Wszędzie dziś naogół przeważa koncepcja biblijofilstwa, jako estetycznego przedewszystkiem spojrzenia na książkę. Piękno zaś książki polega na idealnej harmonji wszystkich jej składników, zarówno zewnętrznych jak i wewnętrznych. Nie będzie tedy doskonałym tworem biblijofilskim, lecz co najwyżej majstersztykiem sztuki typograficznej, druk choćby najwspanialszy, w którym ową idealną harmonję naruszy przewaga formy nad treścią. Jest bowiem biblijofilstwo dążeniem do doskonałości, usiłowaniem zakłęcia najdoskonalszej treści w kongenjalną formę typograficzną.

Społeczeństwa wśród których kultura książki kwitnie, mogą sobie pozwolić na luksus biblijofilstwa czyniącego zadość jedynie wyrafinowanym wymogom smakoszków. Przed biblijofilstwem polskim jednak stają poważne zadania natury społecznej. Chodzi przedewszystkiem o wykształcenie w najszerszych kołach społeczeństwa zrozumienia i odczucia piękna książki, chodzi o podniesienie smaku publiczności kupującej i wytrącenie jej z rąk tandety zaśmiecającej rynek księgarski, chodzi o zarażanie wydawców przykładami.

Postulatom natury estetycznej i społecznej dają wyraz statuty wszystkich istniejących u nas towarzystw biblijofilskich. Jakież jednak odzwierciedlenie znalazły one w praktyce wydawniczej?

Mówiąc otwarcie, szersze ambicje estetyczne w akcji wydawniczej, szukanie nowych dróg w tym zakresie, nie jest właściwe naszemu biblijofilstwu.

Składa się na to szereg przyczyn, zwłaszcza zaś niedostateczne pociąganie do współpracy artystów-grafików, rozdrabnianie wysiłków wydawniczych i częstokroć oddawanie pierwszeństwa ilości przed jakością, wreszcie przeszkody natury pieniężnej, które jednak możnaby umniejszyć a nawet w znacznym stopniu usunąć, przez rewizję planów i metod wydawniczych.

Byłoby dużą niesprawiedliwością odmawiać w czambuł naszym wydawnictwom biblijofilskim walorów estetycznych, nie przyznawać im, rewelacyjnego niekiedy znaczenia na tle ogólnej produkcji wydawniczej. Nie mniej przeto nie zmienia to w niczem faktu, że znakomita większość biblijofilskiej produkcji wydawniczej, stojąc zresztą często na wysokim poziomie poprawności typograficznej, nie zdradza dążności przekroczenia tego poziomu, celem osiągnięcia właściwych celów biblijofilskich.

Bliskie prawdy zapewne będzie stwierdzenie, iż produkcja wydawnicza biblijofilstwa naszego daleka jest od skutecznej realizacji postulatów społecznych. Wszak cechuje ją podwójna wyłączość, zarówno pod względem wydawniczym jak i pod względem treści.

Wydawnictwa biblijofilskie, tłoczone w ograniczonej liczbie egzemplarzy, są kosztowne, a zatem niedostępne szerszym kołom. Znacznie korzystniejszym i celowszem byłoby wydawanie publikacji biblijofilskich w dwu edycjach, wydawniczej, przeznaczonej wyłącznie dla biblijofilów, oraz popularnej. Taka zmiana taktyki wydawniczej musiałaby jednak z konieczności pociągnąć za sobą rewizję charakteru wydawnictw biblijofilskich.

Dotychczas przygniatającą większość druków biblijofilskich stanowią prace, a zwłaszcza przyczynki, mające za przedmiot historyczną lub teoretyczną dziedzinę t. zw. biblijologii czy księgoznawstwa. Prace te, niejednokrotnie bardzo cenne, są niewątpliwie pożądane. Wsuwanie ich jednak na czoło biblijofilskiej produkcji wydawniczej i niejako sugerowanie, że właśnie one stanowią typ doskonałej książki biblijofilskiej, nie pokrywa się z istotą biblijofilstwa.

Nieporozumieniem już zupełnym jest program wydawniczy towarzystw biblijofilskich faworyzujących wyłącznie najmłodszą twórczość poetycką. Jawny to zbytek, zwłaszcza w kraju, w którym arcydzieła niedoczekają się graficznie znośnych edycji, w kraju, w którym takie ubóstwo nowoczesnych wydań ilustrowanych mistrzów słowa, w kraju, w którym tyle świetnych utworów zalega rękopisy i niedostępne druki.

Popierając wydawanie tekstów, nie przemawiam bynajmniej wyłącznie i jedynie w interesie potrzeb historii literatury. Sądzę natomiast, iż w biblijofilskiej działalności wydawniczej, należałoby, w znacznie szerszym, niż dotąd zakresie, pielegnować wydawnictwa, urzeczywistniające idealne założenie biblijofilstwa, wydawnictwa, w których walory graficzne zestroją się harmonijnie z walorami wewnętrznymi, t. j. z treścią, doskonałą i wiecznotrwałą. Niekoniecznie to być muszą utwory literatury pięknej, lecz w ogólności żywotne dokumenty ducha, umysłowości i kultury narodowej. Przy takim nastawieniu linii wydawniczej, o ileż wzrosłaby poczytność, a zatem społeczna skuteczność wydawnictw biblijofilskich.

Jeżeli założenia powyższych uwag są słuszne, należałoby poddać rewizji dotychczasowe programy wydawnicze towarzystw biblijofilskich, w kierunku uestetycznienia, pogłębienia zawartości, wreszcie uspołecznienia ich wydawnictw, któreto postulaty wzajemnie się przenikają i dopełniają.

Do roztrząsania podobnych spraw, słowem do wytyczania dróg biblijofilstwa naszego powołane są Zjazdy biblijofilskie, które niewątpliwie zatracą rychło rację bytu, jeśli i nadal, zajmując się sprawami mniej lub więcej oderwanymi i ograniczając się jak dotychczas do bezplanowej i urywkowej dyskusji, omijając będą zasadnicze zagadnienia programowe i organizacyjne.

Tadeusz Sterzyński.

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Fr. Lip Kraków: Dziękujemy za tak miłe słowa, doprawdy niezasłużone! Wiersze przeczytaliśmy uważnie. Są poprawne, pewne zwrotki brzmią, inne znów rozsypują się nieskładnie. Czy nie ma innych prób, ewentualnie prozy?

Stefan Rad.. Tak dużo a — niedobrze! Dlaczego narzuca Pan tym obrazom tak wyraźną i niedrogą symbolikę? Dlaczego szuka Pan w najprostszycy tematach t. zw. rzeczy olśniewających?! Niema nic bardziej olśniewającego jak utrzymać się w t. zw. prostym temacie. Zgłębić go i wyrazić przystępnymi, dźwięcznymi słowami, — ależ to szczyt poezji. Pan jednak woli widocznie tę sztuczność, która odbiera pracy pańskiej wszelkie znamię poezji. Radzimy więc „przegrupować” się wewnątrznie i zaczynać pracę jeszcze raz od początku.

Michał P. Staranna forma, dużo poczucia obrazu i nastroju. Wedle naszego mniemania nie jest Pan jeszcze w zgodzie z rytmem. Niepotrzebne też jeszcze tu i ówdzie wszelakie „cafuny”. Wieczór na wsi wydrukujemy, prosimy jednak nadesłać podpis.

St. T. Płock: Prosimy jeszcze raz wysłać, tamto nas nie doszło.

Zdzisław M. Lwów: „Słowo” wydrukujemy. Inne, mimo szczerzego pańskiego uczucia niedostatecznie opracowane. Jeżeli ma to dla Pana jakieś znaczenie: Radzimy dalej próbować swych sił. Formę można i należy zdobyć. Warto ją zdobywać dla tego szlachetnego sentymentu tak szczerze dźwięczącego w wierszach. Warto, — warto.

Ka. Pomorze: Owszem, wydrukujemy, — jeszcze trochę cierpliwości.

A 305.27 S: Ma Pan słuszność, że nie zraża się, wolno jednak i nam zachować swobodę przekonań: Wiersze są niedobre. Były niedobre, są niedobre, — czy możliwa jest poprawa, — nie wiemy.

Jerzy K. Gdynia: Otrzymaliśmy Pański list. Niestety za długi. Czy zgadza się Pan, że wydrukujemy tylko pewne zasadnicze części tego listu. Prosimy też o nadesłanie czytelniejszego podpisu.

S. Szylid.. Wszystkie te wiersze, gwoli sumiennosci przeczytaliśmy uważnie. Gwoli sumiennosci jedynie. — są bowiem słabe, bez żadnej wartości. Radzimy przestać pisać, poezją nie zajmować się, gdyż niema Pan żadnych uzdolnień w tym kierunku.

J. Revera: Pisze Pan te wierszyki bardzo gładko, cóż, kiedy, szczerze mówiąc nie mają sensu. Pisze Pan, że idzie przez ulicę reumatyk (owszem, — wcale nieźle opisane). Przy zakończeniu wiersza powstaje dramat, — że reumatyka zabolało. Ileżto razy coś człowieka zaboli? Pomijam nawet bóle generalne, jak zęby, żołądek, głowa. Bóle drugarzędne, wcale jednak znaczne: Artretyzm, wątroba (jeszcze bez kamieni) nerekki z małym piaskiem itd. Bóle te jednak nie mogą stanowić jedyne go w danym momencie źródła poezji!

Jan Brz. Dinard: Nie skróciliśmy ani jednego wiersza. Zdawało się nam, iż wypadnie skrócić. Tymczasem po namyśle doszliśmy do przekonania, że rację ma autor t. zn. Pan, nie zaś krytyk, t. zn. my. Wiersze wydrukowaliśmy prawie wszystkie. — z prawdziwą radością, gdyż istotnie bije z nich talent.

REDAKTOR I WYDAWCA: **WOJCIECH STPICZYNSKI**

ake. 330/610.